Nr. 197. Lwów — Sroda dnia 27 Sierpnia. Rok 1902.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Dziś: | Przen. św. Kazim. | Micheasza Pr.
Jutro: | św. Augustyna B. | Uśp. Bogarodzicy

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o g. 5 m. 17
Zachód „ „ 6 m. 42

Długość dnia godzin 13 minut 25
Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

Opowieść o grubych interesach.

Trzysta lat temu słońce nie zachodziło w posiadłościach hiszpańskich; przyświecało ono wówczas bez przerwy narodowi ogromnie dzielnemu, czynnemu i pełnemu świetnych pomysłów we wszystkich dziedzinach ludzkiej twórczości. Wtedy-to kapitan Pereira, hiszpański gubernator Costariki, ułożył w r. 1581-ym plan budowy kanału morskiego między Atlantykiem a oceanem Spokojnym, urządził w tym celu ekspedycyę, przystąpił do robót, lecz zginął z ręki jakiegoś krajowca, a z nim razem przepadły jego zamiary. W trzydzieści lat potem, mianowicie w r. 1610, meksykański jeneralny kapitan de Mercado przedstawił Filipowi II projekt przekopania przesmyku panamskiego, lecz i wtedy, pomimo że roboty zaczęto, skończyło się na niczem z powodu technicznych trudności. Ten sam los spotkał drugi projekt de Mercada przekopania kanału przez Nikaraguę. Później nieraz ponawiano plan budowy drogi wodnej to przez Panamę, to przez Nikaraguę, ale za każdym razem pomysł ten coraz mniej wzbudzał zainteresowania: Hiszpania już schodziła ze szczytu swej sławy, potęgi, dzielności.

Na ów szczyt zaczęła wstępować Francya. Król-słońce Ludwik XIV wysoko dźwignął jej państwowe znaczenie, a Napoleon I swojemi zwycięstwami rozbudził w narodzie ogromną pomysłowość i przedsiębiorczość. I oto Lesseps jeszcze wtedy, gdy tworzył kanał suezki, już pracował nad planem kanału przez Panamę. Jednak dziejowe wypadki pokrzyżowały jego zamiary; do wykonania ich mógł przystąpić dopiero wtedy, gdy naród już upadał i gdy w nim zamiast wielkich duchów były już tylko wielkie pożądliwości używania. W r. 1879-ym powstało przedsiębiorstwo panamskie, które, zabezpieczywszy sobie prawo wypuszczenia akcyi na cały potrzebny kapitał, umyślnie obliczyło koszty robót za wysoko, aby się obłowić. Lesseps zredukował kosztorys z 800 na 674 milionów franków i to był powód, dla którego przedsiębiorcy ostygli. Dopiero w r. 1882-gim powstała nowa spółka, której losy są znane. Zamiast kanału, który miał być gotowy w r. 1888, właśnie w tym terminie nastąpił krach, który się skończył w r. 1892 słynnym skandalem, sądem i kryminałem. Wprawdzie we dwa lata potem Francuzi znów przystąpili do robót, lecz straciwszy jeszcze kilkadziesiąt milionów franków, zupełnie się wycofali. Bo wówczas upadek Francyi był już bardzo widoczny.

Tymczasem wzrastały w potęgę Stany Zjednoczone i duch ich ludności coraz szerzej rozpościerał swe skrzydła. W roku 1883-cim pojawił się w waszyngtońskim senacie projekt budowy kanału przez Nikaraguę, a w 1889-ym powstał syndykat miliarderów, nazywany trzema literami M. C. C. (Maritime Canal Company). Ten syndykat pracował tylko nad tem, żeby przedsiębiorstwo wyrwać z rąk francuskich; wskutek jego to właśnie intryg robotnicy przy kanale panamskim zrobili w r. 1896-ym zmowę, która dobiła francuską kompanię. Potem już Stany Zjednoczone jawnie wystąpiły z projektem budowy kanału kosztem państwa, a głośno i stanowczo mówiły tylko o budowie przez Nikaraguę, aby jak najtaniej nabyć od Francuzów to wszystko, co oni już zrobili w przesmyku panamskim. W roku przeszłym izba reprezentantów stanowczo uchwaliła kanał nikaraguański. Wówczas kompania francuska, widząc, że sprawa przepadła, weszła w porozumienie z senatorem Markiem Hannem i sprzedała mu swe roboty panamskie, maszyny i prawa za 40 milionów dolarów. Gdy to się stało, senat jednomyślnie uchwalił budować kanał nie przez Nikaraguę, jak postanowiła izba reprezentantów, lecz przez Panamę. Sprawa musiała zatem wrócić do izby reprezentantów, a w niej, jak przedtem wszyscy byli za Nikaraguą, tak za tym drugim razem również wszyscy oświadczyli się za Panamą. Tak Amerykanie wykierowali Francuzów.

Ale między nimi samymi niełatwo to poszło. Wielkie przedsiębiorstwo, na którego czele stoi miliarder Marek Hanna, zrobiło gruby interes. Rządowa komisya Stanów Zjednoczonych obliczyła koszta budowy kanału panamskiego na 188 milionów dolarów i za tyle wzięła się do tego przedsiębiorstwa kompania Hanna, a połowę dokonanych już robót i wszystkie maszyny nabyła od Francuzów za 40 milionów, więc — jak obliczają — zarobi około setki milionów.

Takiego więc interesu pozazdrościli tej kompanii inni milionerzy z Morganem na czele. Zażądali oni czegoś dla siebie, grożąc, że izba reprezentantów, gdzie rej wiedzie Morgan, jak w senacie Hanna, odrzuci projekt panamski, a wytrwa przy nikaraguańskim. Zaczęły się tedy mozolne targi i w końcu stanęło na tem, że Stany Zjednoczone równocześnie wykonają inne wielkie przedsiębiorstwo, które oddadzą spółce Morgana. I tak uchwaliły obie izby, a prezydent Roosevelt już podpisał i panamskie i to drugie przedsięwzięcie.

Ono także przedstawia bardzo gruby interes. Na zachodzie Stanów, między Nevadą a oceanem Spokojnym, leży terytoryum bezwodne i dlatego niezdatne do żadnej uprawy. Jest tam takiej ziemi 250 milionów hektarów. czyli sto razy tyle, ile my w Galicyi zasiewamy głównemi zbożami. Ta ziemia stanowi własność państwa. Otóż izby uchwaliły przeprowadzić w tej okolicy irrygacyę, poczem, wedle orzeczenia znawców, będzie ona nadzwyczaj urodzajna. Przedsiębiorstwo irrygacyjne otrzymała spółka Morgana na takich warunkach: swoim kosztem przeprowadzi ona wszystkie roboty i ziemię sprzeda fermerom, a potem zapłaci państwu po 6 dolarów za hektar. Roboty będą łatwe i niedrogie, bo owo terytoryum przedstawia równy step, po którym zwykłymi kanalikami można rozprowadzić wodę z nader licznych jezior, ciągnących się wzdłuż gór Newadzkich.

Tak się w Stanach robią grube interesa; tak tam ręka rękę myje — w izbach prawodawczych, gdzie rządzi plutokracya, a lud się cieszy, że ma republikę!

Dwór a lud.

Od lat kilku w niektórych dziennikach powtarzają się ustawiczne nawoływania: „Idźmy w lud!" Niestety głosy owe nie wychodziły ze sfer, które nasz lud dobrze znają, tylko pisano te artykuły, jak zwykle, przy zielonym stoliku... Ziemianie, którzy od wieków już w lud poszli, wśród tego ludu żyją, znają jego wszystkie zalety i wady, nie zabierali prawie zupełnie głosu w tej sprawie, z tego powodu, że jedni swych spostrzeżeń nie są w stanie ubrać w szatę literacką, a ci, coby mogli, tak są obciążeni pracą zawodową i obowiązkami publicznymi, że nie staje im czasu na pisanie artykułów. Dzisiejsze wstrząśnienie sprawiło, że i na to nadobowiązkowe zajęcie czas się znaleźć musi, więc sypią się jak z rogu obfitości rozmaite ziemiańskie „listy do redakcyi", w których starają się hreczkosieje wykorzenić w ogóle ludności to fałszywe przekonanie o „szlachcie", które powstało dzięki niesumiennym i z gruntu fałszywym obrazom, malowanym w ciągu lat kilkunastu przez apostołów przewrotu i ludzi chcących po karkach zdeptanych ziemian wydrapać się na szczyty drabiny społecznej.

Korzystając ze sposobności, spróbuję i ja przedstawić moje zapatrywania na to hasło: „pochodu w lud".

Przedewszystkiem muszę jeszcze raz zaznaczyć, że szlachcic mieszkający na wsi, nie potrzebuje się zbierać do tego „pochodu w lud", jakby na jaką podróż do bieguna; nie potrzebuje, bo on od kilkunastu pokoleń jest już u celu tej podróży... Chodzi tylko o wymyślenie sposobu, w jaki on ma spełnić na tem stanowisku swe społeczne obowiązki.

Więc jeżeli kto myśli, że szlachcic powinien zwoływać wiece, gadać na nich o polityce, zdobywać tem popularność i wszystko to robić umyślnie ze specyalnym programem oświecania i nauczania ludu — ten się grubo myli, a praktyka nasza nauczyła, że system ten na nic się nie zdał... Nie zdał się z tej prostej przyczyny, że do rozwiecowanego przez szlachcica chłopa przyjdzie wnet inny agitator, powie mu, że szlachcic kłamie i obieca mu zniesienie podatków i rozdział szlacheckiej ziemi pośród chłopów. Na ten argument szlachcic środka nie znajdzie i musi być pobity w zawodzie politycznego wiecownika.

Nie! Nie tędy droga!

Nie ma nieufniejszego stworzenia na świecie, niż chłop w każdym narodzie na świecie, prym jednak między wszystkimi wiedzie chłop rusiński.

Tego szlachta nigdy nauczyć się nie może i wskutek tego każdy młody szlachcic, wracający z gorącem sercem, z duszą przepełnioną altruizmem ze szkół do rodzinnego ogniska, przejść musi przez całą gamę rozczarowań, a że wytrwałość i cierpliwość nie należą do cech naszej rasy, przeto taki młody zapaleniec zniechęca się szybko — usuwa się od bliższego stosunku z ludem, a często nawet, płacąc pięknem za nadobne — traci do ludu zupełnie serce... Praktyczna, do celu wiodąca droga, jest inna. Trzeba cierpliwie czekać, aż chłop w potrzebie przyjdzie sam do dworu z prośbą o pomoc lub poradę. A wtedy wprost obowiązkiem patryotycznym jest pomódz mu, poradzić, w potrzebie poratować groszem. Gdy jeden taki wynik udania się do dworu rozgłosi się w gminie, zaczną się schodzić jeden po drugim. I tu należy mieć przezorność i pewien — że się tak wyrażę — węch, instynkt. W każdej naszej gminie jest pełno oszustów, którzyby rozebrali skarbiec Rotszylda, gdyby ich doń wpuścił, więc należy pilnie się dowiadywać, co zacz jest każdy z petentów; uczciwym i potrzebującym prawdziwej pomocy nigdy nie odmówić — oszustów i wydrwigroszów pędzić bez żadnej litości. Postępowanie to nawet wzbudzi poszanowanie w gminie dla „pana", bo chłopi umieją uczcić w człowieku rozum i przezorność, a kpią poprostu z dudka, który się da pierwszemu lepszemu szubrawcowi oszukać.

Znam ludzi, umiejących wielki wpływ na lud wywierać, ci doszli do tego tylko w ten sposób, że codziennie poświęcają po kilka godzin na wysłuchiwanie różnych chłopskich dolegliwości. Nasza procedura sądowa, stosunek z urzędem podatkowym i inne sprawy urzędowe przedstawiają tyle trudności dla chłopa, że on, jeżeli się tylko dowie, że „pan" mu może w tych zawikłanych sprawach dopomódz i dobrze poradzić, to będzie zawsze z tem do dworu przychodził, a z czasem zacznie się radzić i w innych kwestyach, jak np. sprawy gminne, wyborcze etc. etc.

Trzeba wreszcie mieć czasem trochę sprytu, ażeby przeciwdziałać postronnym agitacyom... Mam przykład doskonały z własnej praktyki. Przed kilku laty rozpuścił był jakiś przewrotowiec po okolicy wieść, że „panowie" nie płacą podatków. Naturalnie, że pogłoska ta przyjęła się doskonale i do moich uszu zaczęły dochodzić wieści, że chłopi są bardzo rozżaleni, z tego powodu, „że panowie w radzie powiatowej (?!!) tak się naradzili, że wszystkie podatki rozdzielili pomiędzy chłopów, a dwory od wszelkich ciężarów oswobodzili". Tłómaczyłem, że to nieprawda, — nic naturalnie nie pomagało — nie wierzyli. Użyłem więc fortelu, miałem właśnie zapłacić 500 złr. w urzędzie podatkowym, wołam więc dwóch zamożnych gospodarzy i powiadam im, że czując się niezdrów, nie mogę pojechać sam do miasteczka zapłacić podatek, daję więc im książeczkę i pieniądze, prosząc o załatwienie mi tego interesu. Chłopi byli ufetowani okazaniem im tego zaufania — a że to był dzień targowy, więc pochwalili się tem przed wszystkimi sąsiadami i odrazu cała okolica wiedziała, że wieść o niepłaceniu podatków przez dwory jest całkiem fałszywa. Oto jeden ze sposobików, jakich używać potrzeba dla paraliżowania kłamliwej agitacyi, nieprzebierającej w środkach.

Oprócz tych „wygód" świadczonych chłopom, należy również niesłychanie baczną zwrócić uwagę na uświęcone tradycyą zwyczaje i nie naruszyć ich pod żadnym warunkiem. Każda okolica, każda gmina prawie, ma inne tradycye i przyzwyczajenia; walka z tymi zwyczajami byłaby syzyfową pracą — nie wiodącą ostatecznie do celu, bo bardziej upartego konserwatysty nie ma na świecie od naszego chłopa. Zostawmy mu więc te zwyczaje, sami się do nich zastosujmy, niech one staną się naszym nałogiem, a będzie z tem i nam i chłopom dobrze. Nie przedstawiają one zresztą nigdzie jakichś nadzwyczaj niemiłych chłopskich nawyczek.

Uważać również bacznie należy na utrzymanie „powagi dworu", tego jakiegoś nimbusu, który mimo najskromniejszego życia ziemianina otacza tę świątynię polskich tradycyi w oczach wiejskiego ludu. Gdy ta powaga raz zniknie, nadzwyczajnie trudno wprowadzić ją napowrót. Raz w życiu brałem udział w zaprowadzaniu chrześcijańskiego gospodarstwa po zbankrutowanym dzierżawcy, chałatowym żydzie.— Miłych tych wrażeń nie chciałbym drugi raz w życiu doświadczać... Każde słowo chłopa było obrazą, impertynencyą, a on nawet nie czuł tego, że popełnia niegrzeczność. Dwór jednak przyzwoity w dość krótkim czasie jest w stanie poprawić zepsute chłopskie ułożenie.

Jak ognia strzedz się trzeba ukrzywdzenia chłopa i pilnie zwracać należy uwagę na rachunki robotników z oficyalistami, bo niestety nasi pomocnicy mają pęd nadzwyczajny do oszukiwania chłopów. Jeden grosz niedopłacony chłopu za robotę, to milionowa strata narodowa, to podkopanie zaufania do oświeconej warstwy.

Znalazłbym jeszcze setki rozmaitych szczegółów i poszczególnych rad, ale nie będę wciąż nużył czytelników, mam bowiem przekonanie, że każdy z nas ma już w swej krwi ten instynkt, który mu ułatwia nabycie wprawy w stosunkach z ludem.

Stanowczo jednak twierdzić będę, że stosunki te muszą być oparte na dawnych tradycyach i zwyczajach odwiecznych, a nie przez naśladowanie sposobu agitacyi emisaryuszów przewrotowych.... Dwa razy w ciągu ubiegłego stulecia gorąca nasza młodzież „poszła w lud" agitować i wywołała ta agitacya najsmutniejsze rezultaty: raz agitowali emisaryusze Towarzystwa demokratycznego w 1846 w Galicyi — wiemy jaki był skutek. Drugi raz studenci kijowskiego uniwersytetu w 1863 poszli ze „złotą hramotą" w lud i śmierć od tego ludu ponieśli.... Na tej drodze nowych prób nie róbmy. Łatwo bowiem namówić chłopa do gwałtu i bezprawia, dlatego apostołowie przewrotu posłuch w ludzie znajdują, daleko jednak trudniej wytłómaczyć mu, że powinien dużo pracować, wódki nie pić, oszczędzać, pilnie i rozumnie gospodarować, to dojdzie do zamożności i z czasem powiększy swój warstat pracy. Tego rodzaju nauki nie robią efektu i nie nadają się zupełnie do wygłaszania na liczniejszych zebraniach lub wiecach — muszą one być wpajane w umysły włościan powoli, systematycznie; jak kropla wody żłobi skałę, tak muszą one wciskać się w zakute głowy naszych młodszych braci. Wyjątkowo gromadne zebrania są pożyteczne i wywołują doskonały skutek, jeżeli są zwoływane przez zarząd „Kółek rolniczych". Ten rodzaj stowarzyszeń przyjął się między ludem dobrze, bo lud widzi namacalną korzyść z należenia do „Kółek". Na zgromadzeniach tych pozbawionych nawet cienia polityki, potrafiono niejedną zdrową myśl wlać w dusze ludu. Mistrzem w urządzaniu takich zebrań jest poseł Artur Zaremba-Cielecki, człowiek, który najwięcej poświęcił sprawie ludowej w Galicyi — i któremu kandydaci na ministrów socyalno-siczowych z procentem za to dziś płacą.

Przy dobroci, opiece ze strony dworu nie można, znowu dopuszczać się pobłażliwości i przestępstwa należy dochodzić i karać bez miłosierdzia; przedewszystkiem należy tępić złodziejstwo, które niestety rozkorzeniło się tak okropnie, że stało się wprost plagą krajową i chłop rusiński, który nie ukradnie, gdy mu się do tego sposobność nadarzy, należy do najrzadszych wyjątków i powinien być kanonizowany...

Oto wiązanka uwag, zaczerpnięta z osobistej praktyki. Na tem kończę, odpowiadając na głośne dziś hasło: „Idźmy w lud": —„myśmy już dawno w ten lud wrośli i żadna siła od ludu tego oderwać nas nie potrafi".

Dubienko 22 sierpnia 1902.

K. Sołtan-Abgarowicz.

Podróż Wiktora Emanuela do Berlina.

Dziś król włoski z ministrem spraw zagranicznych Prinettim i wielkim orszakiem wyjechał z Rzymu, a przebywszy tunel św. Gottharda, zatrzymał się w Göschenen, gdzie go powitał prezydent szwajcarski p. Zemp z członkami rady związkowej i przedstawicielami wojska szwajcarskiego. To powitanie będzie ostatecznem zażegnaniem zatargu, wywołanego kilka miesięcy temu tym faktem, że rząd szwajcarski tolerował anarchiczne paszkwile na włoską dynastyę w pisemku, wydawanem w Genewie przez włoskich anarchistów. Od tego czasu zmieniono już posłów — szwajcarskiego w Rzymie, a włoskiego w Bernie. Miejsce po-

---

12)

Wrażenia z pielgrzymki do Rzymu.

przez

Annę W....ską.

(Ciąg dalszy).

Mówią niektórzy ludzie, iż obecnie cudów nie ma, nie ma widomych znaków działania Bożej ręki w naszych losach i w naszem otoczeniu.

Byłam zawsze silnie przekonaną, iż pełno jest cudów w nas i w około nas — a im dłużej żyję, tem lepiej i jaśniej widzę to i czuję.

Są cuda w świecie przyrodzonym, powtarzające się ciągle, i skutkiem tego spowszedniały nam, lecz jakże wielkie, jak niepojęte, jak wymownie świadczące o wszechmocnej i wszechrozumnej sile, która je tworzy. Ziarnko w oczach naszych kiełkujące z ziemi, wzrastające, wytwarzające kwiat i owoc, to równie cudowne zjawisko jak przestwór nad głowami naszemi, zapełniony planetami, konstellacyami, światami, w których myśl człowieka gubi się, a których rozum jego ciasny i słaby pojąć nawet nie może. Nie pojmując dzieła, jakże może pojąć Twórcę jego? — a biednej ziemi tej mieszkaniec, do niej na czas jakiś przykuty, w zarozumiałości swej śmie przeczyć działaniu tegoż Twórcy — ba — nawet Jego istnieniu!

Poza cudami, otaczającymi nas zewsząd w przyrodzie, ileż to cudów w duszach, sercach naszych, ile przemian niespodzianych, ileż opatrznościowych skutków niewidomych, nieznanych przyczyn, ile natchnień, siły, pomocy, rozumem ludzkim, choćby najbystrzejszym, niewytłómaczonych!

Tu myśl ludzka prędzej jeszcze gubi się, niż w bezmiarach czasu i przestrzeni, w bilionach lat i w bilionach mil astronomii.

Życie każdego człowieka, objęte okiem, nieoświeconem wiarą, wydać się musi bezrozumną, bezcelową tragikomedyą, zagadką bez rozwiązania, w świetle zaś wiary pasmem cudownych zrządzeń, często niewytłómaczonych tu za życia wcale, prowadzących duszę do przeznaczonego jej celu. Byle z temi zrządzeniami współdziałała, a nie przeszkadzała im wolna wola, ten najszczytniejszy, lecz zarazem najniebezpieczniejszy dar Boży.

Pytań: po co? na co? dlaczego? nasuwa nam się mnóstwo w życiu, a im głębiej myślą sięgnąć chcemy, tem więcej ich napotykamy, a odpowiedzi na żadne z nich rozum ludzki, czysto przyrodzony, dotychczas znaleźć nie mógł. Czyż to nie dowód cudów w nas i w około nas?

Powyższe uwagi nasunęły mi się mimowolnie w kościele San Andrea delle Fratte, gdzie chodziłam kilkakrotnie, by cześć oddać Matce Najświętszej przed cudownym Jej wizerunkiem, w miejscu, gdzie ta Niebios Królowa zjawieniem się Swem nawróciła nagle i najzupełniej niespodzianie żyda, czyniąc zeń gorliwego katolika-zakonnika.

Działo się to nie w zamierzchłych wiekach, gdzie trudno nieraz legendę od faktów odróżnić, lecz sześćdziesiąt lat temu zaledwie, a więc w wieku analizy, sceptycyzmu, pozytywizmu. Niektórzy z żyjących pamiętać jeszcze mogą wrażenie, jakie cud ten na współczesnych wywołał, jak się przyczynił do obudzenia i utrwalenia wiary, jak został przez Stolicę św. i ówczesnego Papieża Grzegorza XVI opisany i zatwierdzony.

Mam przed sobą ciekawą, autentyczną relacyę samego bohatera zdarzenia, oraz wiarogodnych onego świadków; streszczę ją tutaj, gdyż, o ile wiem, fakt ten mało jest u nas znany.

Z końcem listopada roku 1841 przybył do Neapolu 28-letni młodzieniec Alfons Ratisbonne, potomek ogólnie szanowanej, zamożnej izraelickiej rodziny ze Strassburga. Zatrzymał się tam dni kilka w przejeździe do Palermo, skąd udać się miał na Wschód. Był to bardzo zdolny jurysta, który, ukończywszy świetnie studya w Sorbonnie paryskiej, został przez stryja swego, bogatego szefa domu bankowego w Strassburgu, do spółki przyjęty, i z jego córką, śliczną, ukochaną przez siebie 16-letnią panienką, zaręczony. Świetna więc i szczęśliwa przyszłość oczekiwała go. Slub odbyć się miał na wiosnę 1842 r. — teraz Alfons wybrał się w podróż dla odpoczynku po nużących egzaminach — ponieważ zaś interesował się wielce judaizmem i przyszłością współwyznawców, nad których ciemnotą i nędzą biadał, chciał dotrzeć do Palestyny i zbadać tamtejsze stosunki ekonomiczne. Był on bowiem gorliwym członkiem Towarzystwa, mającego na celu podniesienie ekonomiczne i moralne żydów, i marzył o utworzeniu w Palestynie kwitnącej ich kolonii.

Całe liczne rodzeństwo Alfonsa żyło w niezmiernej zgodzie i miłości. Jeden tylko z ich grona, starszy brat Teodor, został przez nich odtrącony, a w szczególności przez Alfonsa znienawidzony za zmianę wiary. W r. 1825 tenże Teodor, w którym cała rodzina pokładała wielkie nadzieje, tknięty łaską Bożą, przeszedł jawnie i otwarcie na wiarę Chrystusową, a w parę lat później oblókł szatę duchowną. Cios był to wielki dla rodziny Ratisbonne — a Alfons, wówczas mały chłopak, z dotychczasowej obojętności na kwestyę religii przeszedł do nienawiści ku chrześcijaństwu, które mu zabrało ukochanego brata, a oburzenia dla jego — jak nazywał — tchórzostwa. Stosunki wszelkie zostały między nimi zerwane, a na listy Teodora pełne miłości Boga i rodzeństwa, donoszące, iż modli się ustawicznie o jego nawrócenie, nikt z rodziny nie odpisywał nawet.

Trwając w tych uczuciach, wychował się Alfons, wyszydzając jawnie i skrycie Kościół i jego wyznawców — i zapewne żadne ludzkie namowy nie byłyby mogły nawrócić tego rozumnego, prawego, lecz zatwardziałego w błędzie swym żyda — trzeba było aż jawnej interwencyi Boga.

Do Rzymu nie miał on jechać wcale — gdyż na pobyt dłuższy nie było czasu, a krótko bawić tam nie miał ochoty — otrzymał też list od narzeczonej, ostrzegający go przed panującą o tej porze malaryą w Rzymie i błagający, aby tam nie jechał.

W dzień Nowego Roku był jeszcze Ratisbonne w Neapolu, a nie mając nikogo z ukochanych przy sobie, tęsknił za nimi i, chodząc po mieście, mimowiednie wszedł do otwartego kościoła, stanął przy drzwiach i począł rozmyślać o narzeczonej, rodzeństwie — o dziele, które tak miał na sercu — podniesienia żydów. Jakże inaczej miał on się modlić za dni dwadzieścia?

Dlaczego pojechał do Rzymu? — z tego sam sobie sprawy zdać nie umie. Zbłądził, idąc zamawiać miejsce na okręcie, odpływającym nazajutrz do Palermo, i zaszedł do biura pocztowego, gdzie kupił bilet do Rzymu. Wyjechał tamże 3go stycznia, zapowiedziawszy się stanowczo z powrotem do Neapolu przed 20tym, gdyż dnia tego odpłynie do Palermo.

Jakże inną zmianę data ta miała sprowadzić w jego życiu! Jak cudownie Opatrzność kierowała krokami jego i to w chwili, gdy się tego najmniej spodziewał!

W Rzymie zwiedza Alfons gorliwie wszystkie ciekawości w towarzystwie paru znajomych osób, między innymi kolegi ze szkół strasburskich p. Gustawa Bussière — żarliwego protestanta, który, korzystając ze sposobności, próbuje go nawracać, lecz Ratisbonne z sarkazmem usiłowania jego odrzuca, a tylko dzielnie wtóruje mu w wyszydzaniu Kościoła katolickiego.

U pana Gustawa Bussière poznaje jego krewnego barona Teodora Bussière, który niedawno wydał był ciekawy opis podróży na Wschód; Ratisbonne więc pragnie zasięgnąć u niego bliższych informacyi o Palestynie. Pan Teodor Bussière zaprasza go do siebie i tamże dopiero z rozmowy Ratisbonne dowiaduje się, iż to gorliwy katolik i przyjaciel brata jego, księdza. To go tak niemile usposabia, iż pragnie wizytę swą skrócić, tem więcej, iż już za dwa dni miał opuścić Rzym. Nie może jednak wstrzymać się od złośliwych uwag o chrześcijaństwie w ogólności, a o Stolicy papieskiej w szczególności, opisując wrażenia w Rzymie doznane. Tu panu Bussière dziwna myśl zabłysła — żal mu niezmiernie, iż ten zdolny, zajmujący młodzieniec wyjechać może z bielmem na oczach duszy tak, jak przyjechał — wzywa sercem pomocy Matki Bożej — i choć widzi go po raz drugi w życiu, zapytuje, czy miałby odwagę poddać się niewinnej próbie? Zdziwiony Ratisbonne zapewnia, iż nie boi się niczego. Na to p. Bussière wyjmuje medalik Matki Najświętszej i prosi, by go nosił na szyi. Ze śmiechem Alfons przystaje na to — ciesząc się, iż będzie miał do opowiadania tak ciekawy o lokalnej barwie epizod z Rzymu. Lecz to nie wystarcza panu Bussière — prosi on jeszcze Alfonsa, aby zechciał przepisać modlitwę św. Bernarda (Memorare) i ją codziennie odczytywać. Tego było trochę za wiele — odpowiada więc z niecierpliwością w głosie, żałując, iż nie ma żadnej hebrajskiej modlitwy pod ręką, aby ją nawzajem dać panu Bussière. Tenże najspokojniej oddaje mu modlitwę i prosi o zwrócenie mu jej po przepisaniu. Alfons nie chcąc uchodzić za nieokrzesanego gbura, przyjmuje nareszcie dar, lecz z silnem postanowieniem odesłania mu go nazajutrz bez użytku. Odchodzi, myśląc z przyjemnością, iż nie powróci tu nigdy — a wieczór spędza w teatrze, zapominając kompletnie o tym, jak sądził w ślepocie swej, przelotnym epizodzie podróży.

Wróciwszy jednak do hotelu, spotrzega na stole porzuconą modlitwę i bezwiednie zaczyna ją przepisywać. W miarę pisania każde słowo ryje mu się w pamięci i pozostaje w uchu jak melodya, której się pozbyć nie można.

(Ciąg dalszy nastąpi).

pądliwego p. Silvestriniego, który nader ostro zganił zachowanie się rządu berneńskiego, zając już flegmatyczny książę Avarna, a dzisiejszy zjazd na ubogiej i wiecznie zachmurzonej stacyi w Göschenen umorzy tę sprawę.

Jutro z rana król stanie we Frankfurcie nadmeńskim, a o godz. 6-ej wieczorem rzuci się w objęcia cesarza Wilhelma w Wildparku pod Poczdamem. Do Berlina uroczyście wjedzie przez bramę Paryską we czwartek; przy bramie powitają go ministrowie, prezydenci parlamentu i sejmu, rada miejska i oczywiście publiczność, która będzie wznosiła pełne zapału okrzyki; potem król z cesarzem przejedzie wzdłuż Alei Zwycięstw, aby się przypatrzyć wyciągniętym w strunę po obu jej bokach kamiennym Hohenzollernom i żywym pomorskim grenadyerom. Zatrzymają się w Ruhmeshalle, gdzie król przybije gwoździe do kilku nowych sztandarów pruskich i potem wolno już nam będzie na cały dzień zapomnieć o wszystkich krzyżackich pamiątkach zwycięstw i sław. Zje tedy śniadanie u swego ambasadora hr. Lanza, przyjmie Włochów, mieszkających w Berlinie i uda się do teatru. Ale w piątek już będzie uraczony paradą wojskową i potem paradnym obiadem w pałacu Nowym, a w sobotę zapewne odjedzie.

Tymczasem eskadra włoska po daremnem staniu na kotwicy przed Tripolisem, odpłynęła do Krety, skąd jej admirał Palumbo wyruszy na krążowniku do Konstantynopola, aby sułtanowi złożyć królewskie podarki i przekonać go, że Włochy nie mają żadnych zamiarów względem Trypolisu. Rzeczywiście, teraz ich nie mają i dlatego włoski ambasador margrabia Carbonara di Malaspina, który wyjechał był z Konstantynopola na długi urlop właśnie wtedy, gdy eskadra admirała Palumbo udała się pod Tripolis, teraz wraca na swój posterunek. Na pewien czas zacichnie sprawa trypolitańska.

List do Redakcyi.

(W sprawie strejku w Jarosławicach).

W odpowiedzi na artykuł p. Juliusza Cieleckiego z Byczkowiec, w sprawie strejku w Jarosławicach, daję następujące wyjaśnienia:

Chłopi na tych samych warunkach, co dawniej do żniwa powrócili, bo nigdy u mnie krzywdy nie mieli. Przez lat 18 robię zbiór za 10 snop i dodaję furę drzewa na parę żeńców. Zwyczaj wypłaty w karczmie zastałem już tu, a ponieważ prowadzę także rachunki propinacyi i młyna, przeto to zatrzymałem, wychodzi bowiem z zasady, że można wszędzie wypłacać, byle chłopa nie krzywdzić. Zapytywałem też przy ugodzie, czy kto był na czem skrzywdzony i otrzymałem odpowiedź, że „nie". Warunek ten wypłacania w karczmie był przez księdza wymyślony, by przecież strejk upozorować choćby przed chłopami. Ludzie powrócili do pracy w poczuciu, że krzywdy nie mieli, a mimo to spodziewam się strejku przy kopaniu kartofli, chociaż płacę po trzy topki soli. Jest to dowód, że wichrzyciele nie dali za wygraną, a chłop choć widzi, że źle nie wytargował, myśli, że się to nie jutro. Z mej strony zauważam, że większą krzywdę chłopa widzę tam, gdzie mu dają 12 snop, a wypłacają w kancelaryi właściciela majątku — w poczuciu filantropii, której chłop nie uznaje a właściciela do ustępstw zmusił.

Jarosławice 22 sierpnia 1902.

Komarnicki.

Co i o czem piszą.

Jednym z największych szkodników na organizmie społecznym kraju naszego jest prasa zjadliwa, zarówno polska, jak i ruska. Ona to doprowadziła do ustawicznego wrzenia w Galicyi, ona kopie przepaść między Polakami i Rusinami i mąci zdrowy sąd o sprawach publicznych. Niestety są niektóre polskie pisma, które w traktowaniu spraw ruskich wychodzą z równowagi i zamiast działać pouczająco i uspokajająco, jak przystoi na kierowników opinii publicznej, drażnią tylko i jątrzą niepotrzebnie. Z drugiej strony jednak na jak najgorsze potępienie zasługuje ton, w jakim przemawia prasa ruska, a zwłaszcza ukraińskie *Diło* pod nową redakcyą. Taktyka, jakiej to pismo trzyma się od pewnego czasu względem Polaków, jakby obliczona jest na to, żeby w społeczeństwie ruskiem wytworzyć jak największą nienawiść do Polaków, a w społeczeństwie polskiem do Rusinów i wzbudzić wśród Rusinów pragnienia, których rzeczywistość nigdy nie ziści. Aby dać czytelnikom naszym jakie takie pojęcie o tonie, w jakim pisze *Diło* o sprawach krajowych, przytaczamy artykuł tego pisma o dziwacznym pomyśle zwołania pod egidą centralnego rządu wiedeńskiego polsko-ruskiej konferencyi ugodowej. Projekt ten wylągł się, jak wiadomo, z kuchni Żydów i korespondentów *Pester Lloyda*, a *Diło* tak o nim pisze:

„Dzienniki polskie zajęły to stanowisko, że sprawa wzajemnych stosunków Polaków i Rusinów, to sprawa krajowa, czysto wewnętrznej natury, do której centralny rząd nie ma prawa się mięszać.

Na to my musimy odpowiedzieć, że na takie zapatrywania polskich przewódzców Rusini nie godzą się wcale i nie zgodzą się nigdy. Galicya, to nie Polska; centralne władze nad nami jeszcze istnieją, a w państwie austryackiem Rusinom przysługują chyba te same zasadnicze prawa i to samo prawno-konstytucyjne stanowisko, co Polakom. Że polscy politycy i przewódzcy chcieliby, aby im nikt nie przeszkadzał w dręczeniu słabszego, to łatwo zrozumieć; ale to jeszcze nie racya, abyśmy i my z tem się godzili. Spodziewać się jednak należy, że i państwo, którego sami Rusini należą, interesy z naszymi (!) tylko coś obchodzą, — o nich to w tem pewnie wie, t. j. interesami całego narodu ważniejszymi stokroć, niż interesa klik (!!), nie uznaje takich zastrzeżeń. Polska prasa mówi dalej, że polscy politycy sami załagodzą ruską sprawę i z Rusinami dadzą sobie radę. Na to jeszcze raz musimy dać odpowiedź: Nasz rachunek z Polakami już skończony; niechaj polscy politycy wybiją sobie z głowy, żebyśmy my z nimi samymi paktowali w celu załagodzenia naszych sporów. Zapewnień w tej sprawie mieliśmy już dosyć i jakie to były, o tem świadczą zdarzenia najświeższej doby. A także niech nie ludzą siebie samych panowie polscy, że uda im się zwabić kogokolwiek między Rusinami, który w takim celu podałby im rękę. Dziś cały ruski naród stoi w szyku bojowym, a który z Rusinów (bez względu na partyę) poważył się zdezerterować, tego — niech o tem dobrze pamiętają panowie Polacy — zmiecie natychmiast fala powszechnego oburzenia i protestu.

Jeśli polscy politycy nie chcą dopuścić do interwencyi centralnego rządu czy państwa, pod pokrywką, że oni sami załagodzą spór swój z Rusinami, to niech wiedzą ci, którym to wiedzieć potrzeba, że to podstęp albo oszustwo. Rusini z polskimi przywódzcami ani mówić ani umawiać się nigdy nie będą, a to ze względu na dotychczasowe postępowanie tych przywódzców. Interwencyę rządu centralnego my rozumiemy tak, że nietylko chcemy, ale domagamy się tego, aby rząd ten zaprowadził ład w Galicyi (!), a czy to się stanie ze zgodą i przy współudziale Polaków, jak chce *Pester Lloyd*, czy nie, to nam wszystko jedno.

Rząd centralny oddał nas całkiem pod władzę teraźniejszych zwierzchników (Polaków), to więc, do czego my obecnie dążymy, to jest wyrównanie naszego rachunku z państwem, które dotąd swych obowiązków wobec Rusinów nie spełniło. I z tego też stanowiska dziwimy się projektowi konferencyi, stworzonemu przez *Pester Lloyda*. Tych konferencyj my nie domagamy się. Jeśli Polacy chcą dojść z nami do porządku przy interwencyi rządu centralnego, to dobrze; jeśli zaś nie, to my nie ustaniemy w naszej walce, dopóki rząd centralny nie spełni w tej lub owej formie swego obowiązku i nie uwolni nas z pod jarzma i ucisku na naszej ziemi.

Oto wóz i przewóz! A ponieważ te słowa wypowiadamy z okazyi znanego projektu, to musimy zarazem powiedzieć, że one nie odnoszą się jedynie do tego projektu. Przeciwnie: one zaznaczają stanowisko, jakiego w naszej taktyce trzymamy się my Rusini i jakiego trzymać się będziemy i na przyszłość".

Przytoczyliśmy ten brzydki artykuł, rumieniąc się za naszych kolegów dziennikarzy ruskich i z głęboką wiarą, że żaden uczciwy Rusin nie podziela zapatrywań tego pisma, które dlatego tylko tak szczuje i rzuca się na Polaków, że uważa, iż tą drogą dojdzie do znaczenia i pobije inne organa ruskie. Straszna to jest rzecz pomyśleć, że dlatego, iż któraś redakcya chce sobie na chleb zarobić, waśnione są i szczute na siebie dwa narody tak do siebie zbliżone, że niepodobna żadnych cech etnograficznych wynaleźć, określających, że tu się kończy Polak, a tu się zaczyna Rusin. Przecież w tylu rodzinach siostry są Polkami, a bracia Rusinami lub odwrotnie dlatego, że siostry poszły za matką, a bracia za ojcem; to rodzeństwo ma się nawzajem nienawidzieć i iść ze sobą na noże, dlatego tylko, że jakaś ruska redakcya lub polska redakcya potrzebuje zarobić sobie na kawałek chleba. Widząc te wykroczenia prasowe, każdy myślący człowiek zapytuje: Czyż długo jeszcze taka szkodliwa ustawa prasowa, jaką mamy w Austryi, będzie obowiązywała i czy długo jeszcze parlament austryacki będzie się zajmował głupstwami, a nie uchwali najpilniejszej rzeczy, jaka jest obecnie w Austryi, t. j. reformy ustawy prasowej i to reformy w tym duchu, aby na wykroczenia dziennikarskie był nałożony jak najsilniejszy hamulec.

Strejki rolne.

Diło podaje następującą historyę strejku w Galicyi wschodniej:

Początek agitacyi strejkowej sięga r. 1897. W tym roku w miesiącu lutym Wacław Budzynowski zaczął wydawać w Czerniowcach *Pracę*, która rozchodziła się najwięcej w powiatach: zbaraskim, tarnopolskim, skałackim, przemyślańskim i husiatyńskim. W *Pracy* w każdym numerze pisał Budzynowski o strejku i wzywał chłopów do strejkowania, a potem wydał Budzynowski broszurę pt. „Chłopski strejk", która rozeszła się głównie w powiatach na Podolu w liczbie półtora tysiąca egzemplarzy. W tym samym roku (1897) zjazd ukraińsko-radykalnej partyi uchwalił przygotować lud do strejków i rozpocząć agitacyę strejkową.

Dalej również w r. 1897 pojawiła się w *Hromadskim Hołosie*, organie partyi radykalnej, który wychodził wówczas pod redakcyą Franki, popularna praca pt. „Strejk, czy bojkot". Praca ta wyszła w osobnej broszurze i była rozrzucona między chłopów. Broszurę tę napisał Semen Wityk do spółki z Frankiem.

W roku 1900 wybuchł strejk agrarny w 10 gminach powiatu sądowego mielnickiego w pow. borszczowskim. Strejki te zakończyły się pomyślnie dla chłopów. W r. 1901 wybuchł jeden strejk agrarny w pow. mościskim, ale nie udał się. W grudniu 1901 r. Zjazd narodowy Rusinów uchwalił na wniosek Budzynowskiego użyć do walki z przeciwnikami wszystkich ustawą dozwolonych sposobów, nie wykluczając strejków i bojkotów, i polecił „Narodnemu komitetowi", aby rozwinął agitacyę strejkową. Wykonywując tę uchwałę Budzynowski tak redagował *Swobodę* od początku br., tak przedstawiał rozruchy chłopskie w Rosyi i strejki rolnicze w różnych krajach, a w końcu, kiedy nadchodziła pora żniw, tak energicznie wezwał chłopów do strejku, że na wezwanie *Swobody* wybuchły pierwsze tegoroczne strejki w pow. przemyślańskim i Czyżykowie. Za tem poszły dalsze strejki. Równocześnie rozwinęły agitacyę za strejkami radykalny *Hromadzkij Hołos* i socyalno-demokratyczna *Wola*.

Gdy już tegoroczne strejki wybuchły, wydała i rozrzuciła ukraińska ruska młodzież broszurę S. Wityka: „Jak postępować podczas strejku?", a „Narodnyj komitet" wydał i rozesłał broszurę Budzynowskiego pt. „Chłopska polityka".

Ultimatum ruskich radykalistów.

W ruskiem pisemku radykalnem *Swobodzie*, redagowanem przez agitatora strejkowego Budzynowskiego pojawił się wykaz żądań, jakie stawiają Rusini, a raczej ruski „Narodny komitet", uważający siebie za jedynie powołanego do reprezentowania Rusinów, w odpowiedzi na zaproponowaną przez *Pester Lloyda* interwencyę przy ewentualnych polsko-ruskich rokowaniach ugodowych. Otóż *Swoboda* pisze tak:

„Ze względu na to, że głosy o potrzebie porozumienia się z narodem ruskim podniosły się z okazyi strejków, których pierwszym celem jest zdobyć dla robotników, pracujących na łanach pańskich, odpowiednią zapłatę, naród ruski musi otrzymać zapewnienie:

1) że na wypadek, gdyby robotnicy kiedybądź domagali się takiej płacy, jaką pan dać może, a dać nie chce, rząd pozostawił go jego własnemu losowi, tj. nie dawał mu żadnej pomocy, ani przez ściąganie i ochronę obcych robotników, ani przez taki napór na strejkujących, jaki był w tym roku.

Dalej musimy otrzymać zapewnienie:

2) że ciężar podatkowy będzie zmniejszony przez ustawową rewizyę katastru gruntowego w tym kierunku tak, aby jednakowe parcele rustykalne i dominikalne zapisano do jednej i tej samej klasy;

3) że nadmierne wydatki na Galicyę zachodnią, które rujnują włościaństwo we wschodniej Galicyi i ich mienie oddają w ręce kolonistów mazurskich, będą wstrzymane i wyrównane w ten sposób, że państwo przez 10 lat będzie dawało na parcelacyę obszarów dworskich między chłopów ruskich co najmniej po 5 milionów zapomogi, a po 10 milionów bezprocentowej pożyczki.

4) że rząd rozwiąże wszystkie rady gminne tam, gdzie tego zażąda bodaj połowa ludności i przeprowadzi nowe wybory legalnie i lojalnie (tj. bez wszelkiego wpływu, namowy i postrachów ze strony władzy);

5) że rząd rozwiąże Sejm i przeprowadzi nowe wybory legalnie i lojalnie;

6) że każda ruska gmina dostanie ruską szkołę narodową; że wszyscy uczniowie Rusini będą uwolnieni od obowiązkowej nauki języka polskiego, a szkolnictwo w gminach ruskich będzie podlegało ruskiej radzie szkolnej;

7) że rząd, nie pytając się Sejmu, założy gimnazya ruskie w ruskich miastach: Rohatynie, Jaworowie, Czortkowie, Uhnowie i t. d.

8) że w uniwersytecie lwowskim będą prawa języka polskiego zrównane z prawami języka ruskiego, t. j., że profesorów Rusinów będzie tylu, ilu Polaków; że urzędowanie będzie się odbywało tak samo po rusku jak i po polsku;

9) że prawa języka ruskiego we wszystkich urzędach bez wyjątku będą zrównane z prawami języka polskiego;

10) że wszyscy urzędnicy i podurzędnicy Rusini w zachodniej Galicyi, będą przeniesieni do Galicyi wschodniej, a do Galicyi zachodniej będzie przeniesioną taka sama liczba urzędników nie-Rusinów z Galicyi wschodniej.

Wyliczyliśmy tylko najważniejsze i piekące sprawy i ostrzegamy tak rząd, jak i tych, którzy może będą powołani do załatwienia z rządem jakiejś ugody, że ruski naród nie będzie syty ani obiecankami, ani okruchami i że za takie zdobycze, jak gimnazya, subwencya dla jakiegoś towarzystwa, lub choćby uniwersytet, nie zejdzie z drogi, na którą wstąpił".

Swoboda kończy swój artykuł charakterystycznym zwrotem:

„Jeżeli rząd nie zamierza spełnić bodaj tego, czego my żądamy w tych 10 punktach, to niechaj nawet nie zaczyna mówić z przedstawicielami ruskiego narodu, bo dopiero wtedy, gdybyśmy to dostali, co na podstawie ustaw zasadniczych już dawno mieć powinniśmy byli, mogliby reprezentanci Rusinów zapewnić kierownikom naszego państwa, że dalszą walkę o rozszerzenie swoich praw (np. o powszechne prawo głosowania) prowadzić będą Rusini tak, że żaden stróż obowiązujących dziś ustaw nie będzie miał z Rusinami żadnego kłopotu".

W tych słowach zawartą jest jakoby groźba, że jeżeli rząd nie zechce pójść pod komendę „Narodnego komitetu" to będzie miał na swojem sumieniu dalsze nielegalności Rusinów.

Taki jest program radykałów ruskich, widocznie zaimprowizowany na prędce, gdyż *Swoboda* sama zaznacza: „Wyliczyliśmy nasze żądania tylko na to, ażeby nikt nie mógł powiedzieć, że Rusini sami nie wiedzą, czego mają się domagać od rządu". Jestto więc chwilowy fajerwerk polityczny, z którym seryo liczyć się nawet nie można, tak pełen jest naiwności. Panowie radykałowie widocznie są młodzieńcami wychowanymi i wykształconymi pod zaborem rosyjskim i najmniejszego pojęcia nie mają o konstytucyi i ustawach austryackich. Bo gdyby to byli ludzie z uniwersyteckiem wykształceniem, otrzymanem w Galicyi, toby takiego śmiesznego programu nie ułożyli, wiedzieliby przecież, że w Austryi obowiązuje nie absolutna wola rządu, ale konstytucya i ustawy uchwalone przez parlament, których naruszać nie wolno ani rządowi, ani żadnemu z ludów austryackich.

Ci panowie, wzdychający do absolutyzmu i reakcyi, a redagujący *Swobodę*, niechaj wiedzą, że według konstytucyi i ustaw rząd jest ograniczony w swoich rozporządzeniach i w swojem postępowaniu, a zatem np. nie może odbierać praw przysługujących sejmowi bez woli sejmu, nie może też sam zakładać szkół gimnazyalnych bez przyzwolenia tegoż sejmu. Następnie rząd nie ma prawa nakazywać gminom, żeby zakładały takie szkoły, jakie się jemu podobają, tylko sam musi pod tym względem pilnować ustaw orzekających warunki, pod którymi gmina zakłada szkoły, ustawy zaś te co do zakładania szkół obowiązują w całej Austryi i dla woli Rusinów nie mogą być zmienione, skoro inne prowincye o tem wcale nie myślą. Następnie co do podatków, to także widocznie ci panowie nie mają wyobrażenia o tem, iż w Austryi podatki uchwala w pierwszym rzędzie Rada państwa, a nie rząd, który też nie może ich dobrowolnie nakładać lub zdejmować. Niechże więc Rusini wywalczą sobie w Radzie państwa, żeby dla nich uchwalono tam wszelkie możliwe ulgi podatkowe i wszelkie prezenta w formie milionowych dotacyi na jakąś ruską kolonizacyę w Galicyi.

Ktoś bardzo słusznie nazwał ten cały nowy ruch ukraiński „pajdokracyą", to jest panowaniem młodzieży. Program ogłoszony przez *Swobodę*, a powtórzony skwapliwie przez *Diło*, pokazuje, że ster polityki ruskiej dzierżą teraz same dzieciaki, które nie mają wyobrażenia ani o ustawach, ani o organizacyi społecznej, ani o konstytucyi austryackiej, są to błazenki, które sobie wypowiadają życzenia naiwne, na jakie każdy rozsądny człowiek, czy to Polak czy Rusin, wzruszy ramionami. Traktować tego na seryo nie podobna, a jedno tylko trzeba wypowiedzieć życzenie, to, żeby Rusini wyzwolili się z pod tej pajdokracyi, niech tam powstaną wreszcie jakieś rozsądne instytucye czy stowarzyszenia, któreby ujęły w swoje ręce sprawy ruskie, a nie zdawały ich na los szczęścia malcom gimnazyalnym i uciekinierom z pod zaboru rosyjskiego.

Spór o Morskie Oko.

Grac, 25 sierpnia.

Mimo, że wczoraj była niedziela, odbyło się jednak posiedzenie trybunału rozjemczego. Powodem tego pośpiechu zdaje się być to, że superarbiter dr. Winkler, który jest na polu prawa międzynarodowego powagą ogólnie uznaną, ma po tej sprawie rozsądzać jeszcze dwa inne spory między państwami, jeden dotyczący Peruwii, drugi dotyczący Włoch, chce więc jak najszybciej załatwić się ze sprawą Morskiego Oka. Zdaje się też, że Węgrzy, nie wiadomo z jakich pobudek, wpływają na przyśpieszenie rozstrzygnięcia.

Prezydent dr. Tchórznicki kontynuował wczoraj swe wywody, w których, jak wyraźnie zaznaczył, przedstawia, w myśl statutów sądu rozjemczego, bezstronnie treść aktów, dostarczonych mu z ministerstwa, a wstrzyma się od wyrażenia zdania, co przypadnie w udziale obrońcy praw Austryi, prof. Balzerowi. Mimo to wiele z tego, co przytacza, samą siłą faktów osłabia poprzednie wywody Węgrów. Powoływali się Węgrzy na to, że Białka a Biała Woda to zupełnie co innego. Owóż p. Tchórznicki wyjaśnia, że Białka i Biała Woda, jak są w rzeczywistości jedną i tą samą rzeką, tak też i co do nazwy są identyczne, bo Białka to tylko skrócona forma nazwy Biała Woda. Przytem dla wytłómaczenia nieznającemu języka polskiego prezydentowi Winklerowi posługuje się przykładem, że jak mówi się po polsku kasztanka, zamiast klacz kasztanowata, tak też skraca się Białą Wodę na Białkę. Zmadziaryzowany Słowak p. Lehoczky słucha tego obojętnie; p. Laban, który onegdaj wyrwał się z kilkoma słowami polskiemi przypadkowo w czasie czytania pewnego aktu, czerwieni się zirytowany — bo wszakżeż obaj dowodzili przez dwa dni prezydentowi Winklerowi, że Białka co innego, a Biała Woda zupełnie co innego, biorąc na pomoc nawet orzeczenie ministra wojny, i wszystkie mapy, robione przez nieznających języka polskiego oficerów sztabu jeneralnego — a jedna „kasztanka" zepsuła szyki.

P. Tchorznicki przedłożył po raz pierwszy sądowi rozjemczemu oryginalny dokument; jest to mianowicie akt na pergaminie, z pieczęcią króla Jana Kazimierza z roku 1661, nadający sołtysom Nowobielskim prawo paszy przy Morskiem Oku.

Co się tyczy map Seegera, sporządzonych na krótko przed rozbiorem Polski, a na które z takiem zamiłowaniem powołują się Węgrzy, podczas gdy zarzucają Galicyi, że z dziwną odrazą odnosi się do tych map, to p. Tchorznicki wykazał przez odczytanie rozporządzeń cesarskich z roku 1784 jak sam cesarz Józef i ówczesny rząd austryacki należycie oceniał matactwa graniczne Seegera i Töröka.

W dalszym ciągu arbiter austryacki przedstawił wypadki świeższej daty, to wszystko, co zaszło od czasu, gdy Władysław hr. Zamoyski w r. 1889 kupił na licytacyi dobra Zakopane i Kościeliska, te ciągłe gwałty, popełniane przez służbę Hohenlohego i przez żandarmów węgierskich.

P. Tchorznicki, w odróżnieniu od arbitra węgierskiego, prawie ciągle sam przemawia, a korreferent dr. Korn ogranicza się tylko do odczytywania dokumentów. Superarbiter dr. Winkler słucha bardzo uważnie i robi liczne zapiski.

Referenci austryaccy jutro, we wtorek, zakończą swój referat. We środę rozpoczną się przemówienia obrońców; najpierw przemawiać będzie Bölcs, a po nim prof. Balzer. Przemówienia ich zakończą się prawdopodobnie w sobotę. W niedzielę odbędzie się poufne posiedzenie sądu rozjemczego, celem powzięcia uchwał co do wniosków, jakie obrońcy postawią. Wyjazd zatem do Tatr, celem przedsięwzięcia wizyi lokalnej, będzie mógł nastąpić dopiero w poniedziałek.

Od środy odbywać się będą dwa posiedzenia dziennie.

Dr. Eljasz Radzikowski wyszukał i oddał do dyspozycyi sądu rozjemczego jeszcze kilka dzieł, także węgierskich, w których wyraźnie powiedziano, że Morskie Oko należy do Galicyi. Tak pisze między innemi rządowy fizyk węgierski Rochel, w książce, wydanej w Peszcie r. 1821. Zaś prof. Czubek z Zakopanego nadesłał do sędziów rozjemczych telegram w sprawie rzekomej przynależności czterech wsi (Białka, Brzegi, Bukowina i Leśnica) do Węgier, i zwraca uwagę na ustępy w aktach grodzkich z r. 1624, które właśnie poświadczają, że te wsi są polskie.

Z ostatnich chwil Henryka Siemiradzkiego.

O ostatnich chwilach zmarłego mistrza donoszą co następuje: Siemiradzki zmarł w Strzałkowie, w majątku swoim pod Radomskiem w sobotę 23 o godz. 1 w nocy. Kres jego życiu położyła choroba raka na języku, na którą cierpiał dotkliwie od kilku miesięcy, ale której powolny przebieg bynajmniej nie zapowiadał tak bliskiej katastrofy.

Ś. p. Siemiradzki, przybywszy przed dwoma miesiącami, jak to zwykle czynił w lecie, do Strzałkowa, czuł się tu tak jeszcze dobrze, że ze wstrętem odrzucił myśl powrotu do Rzymu. Przywiózł nawet z sobą zalecone przez swego ordynaryusza w Rzymie, dr. de Negri, dwie *garde malade* panny: Elwirę Ligozzi i Maryę Cesaroni, które z niezmierną troskliwością dniem i nocą czuwały przy chorym. Przywiózł również dwie skrzynie szkiców, sądząc, że je będzie mógł dokończyć. Niestety, choroba po 4 tygodniach pobytu rozwijać się poczęła tak szybko, że wytrąciła zupełnie pędzel z ręki artysty, a niebawem powaliła go na łoże, z którego nie miał już powstać.

Od dwóch lat zmarły mistrz powierzył zdrowie swoje w ręce uznanego ogólnie dra Negri, lekarza z Medyolanu, którego poleciła śp. Siemiradzkiemu królowa Małgorzata. Dr. Negri obiecywał ciągle, że będzie, że musi być dobrze. Co kilka dni posyłano lekarzowi do Medyolanu śliny i wydzieliny ustne śp. Henryka — i co kilka dni nadchodziły listy, dodające otuchy zbolałej rodzinie.

Żonie, p. Maryi z Prószyńskich, chwilami zdawało się, że przecież coś się psuje w organizmie mistrza.

Były to jednak małe chmurki i nikt nie mógł przypuszczać, że sprowadzą one taką okropną klęskę. Mistrz uczuł ból w języku, ale się tem nie zastraszył. Kiedy jednak ból stał się dokuczliwszy, wyjechał do Warszawy i udał się do dra Leszczyńskiego, sądząc, że podpiłowanie zęba uchroni go od cierpień. Dr. Leszczyński operacyę wykonał, ale ból wzmagał się ustawicznie. Oto początek choroby, a było to przed dwoma laty.

Choroba wzmogła się. Cierpiał długo, choć nie dawał tego poznać po sobie. Dla swoich miał zawsze twarz pogodną, wesołą. A chociaż od Bożego Narodzenia żywił się tylko płynami, po przybyciu do Strzałkowa przed dwoma miesiącami stronił od łóżka i wykazywał dziwną energię. Nie skarżył się, ale stał się religijnym i pragnął muzyki jako ukojenia.

Katastrofa przyszła prawie nagle. Umierał pogodnie i przytomnie. Agonia trwała zaledwie pół godziny. Jeszcze o godzinie 11-tej poprosił niknący w oczach mistrz o kartkę i nakreślił na niej te pamiętne słowa:

„† *Niczego już od ziemi nie żądam, czuję fizyczne pragnienie śmierci, pragnąłbym tylko żyć dla mej rodziny, proszę o przebaczenie grzechów*".

Kartkę tę drogocenną zatrzymał na własność dla klasztoru Jasnogórskiego O. Kazimierz, który już nie „o zdrowie", ale „o spokój duszy" odprawił mszę św.

Zwłoki przeniesiono zrana do kaplicy, bardzo starej, fundowanej przez Strzałkowskich. Spoczęły wśród zieleni i kwiecia. Ci, którzy stroili katafalk, przedewszystkiem kwitnącemi różami i innemi kwiaty owinęli rękę, tę rękę, która tyle stworzyła arcydzieł.

Eksportacya zwłok odbędzie się dziś, we wtorek z kaplicy strzałkowskiej do dworca kolejowego w Radomsku. Kondukt poprowadzi osobisty, wielki przyjaciel zmarłego mistrza X. dziekan Maciążkiewicz z Grodziska. Pogrzeb naznaczono na środę, a kondukt wyruszy z dworca kolei Warszawsko-Wiedeńskiej na cmentarz Powązkowski, gdzie śp. Henryk Siemiradzki spocznie w grobie rodzinnym.

Ciało nie będzie balsamowane ze względu na nadpsucie lewej szczęki.

KRONIKA.

Lwów 26 sierpnia.

P. namiestnik hr. Piniński wyjechał na trzytygodniowy urlop.

Sekwestratorem dóbr śp. br. Brunickiego w Zaleszczykach mianował sąd adwokata dra Mantla w Tarnopolu.

Zamiary ruskich akademików. Od pewnego czasu ogłasza *Diło* wezwanie, aby wszyscy ruscy akademicy i ukończeni gimnazyaliści nadsyłali swoje adresy. W ten sposób wzięto się do mobilizacyi ruskich studentów, aby ci zapisywali się tłumnie w nadchodzącem półroczu na lwowski uniwersytet. Wielka liczba ruskich słuchaczy ma posłużyć za dowód, że utworzenie ruskiego uniwersytetu jest rzeczą nieodzowną.

Niezwykły ślub. W sobotę rano odbył się w kościele OO. Bernardynów we Lwowie ślub panny Jadwigi Szmyttówny, siostry żony znanego we Lwowie kupca p. Leonarda Soleckiego i właścicielki willi „Kalina" w Zakopanem, ze znanym gościom zakopańskim przewodnikiem, góralem Józefem Rojem. Pan młody ubrany był w odświętny strój góralski. Kościół przepełniony był publicznością, która przybyła, aby ujrzeć tę niezwykłą parę. Górale zakopańscy uważają małżeństwo Roja za mezalians i bardzo niechętnem okiem patrzą na to, iż Roj zamiast, jak jego ojcowie i dziadowie ożenić się z góralką, wziął za żonę pannę z miasta.

Adolf br. Jorkasch-Koch, były wiceprezydent krajowej dyrekcyi skarbu we Lwowie, w przejeździe przez Lwów, gdzie zamieszkał w hotelu europejskim, zachorował bardzo ciężko. Przed wyjazdem swym z Wiednia był już chory i pluł krwią. Jednak ani on sam, ani rodzina nie zwracali uwagi na to, a było to objawem zapalenia płuc. W takim stanie przybył chory do Lwowa; choroba rozwinęła się. Radzca dr. Opolski, przywołany do chorego, stwierdził nadzwyczaj silne ogniskowe zapalenie płuc. Według otrzymanych dziś przez nas relacyi ognisk zapalnych utworzyło się dotychczas sześć. Chory tak stracił na siłach, że koniecznemi okazały się injekcye środków pobudzających. Wogóle stan jest tak groźny, że nie można żywić najmniejszej nadziei utrzymania chorego przy życiu. U łoża zebrała się cała rodzina, przybył też z Wiednia syn chorego, szef sekcyi w ministeryum skarbu. Dziś rano wezwał on telegraficznie prof. dra Neussera z Wiednia. Lekarze jednak wątpią, czy wiedeński lekarz zdoła przybyć na czas, katastrofa bowiem spodziewaną jest lada chwila.

Centrum przeciw cesarzowi Wilhelmowi. Organ stronnictwa centrum *Germania* zapowiada, że bezpośrednio po zwołaniu parlamentu niemieckiego posłowie tego stronnictwa wniosą interpelacyę w sprawie znanego telegramu cesarza Wilhelma do księcia-rejenta bawarskiego, w którym to telegramie, jak to już donosiliśmy, cesarz wyraził swe oburzenie z tego powodu, iż Sejm bawarski odrzucił kredyt 100.000 marek na zakupno dzieł sztuki i oświadczył księciu rejentowi, że z własnej kieszeni służy mu tą sumą. Oczywiście książę rejent odpowiedział telegraficznie, że pieniędzy tych nie potrzebuje, tembardziej, że hr. Moy ofiarował na ten cel potrzebną sumę.

Kontrabanda w rafineryi Sprecherów. Przed kilku miesiącami odkryto we Lwowie olbrzymią kontrabandę w rafineryi pod firmą: synów Maurycego Sprechera.

Obecnie cała sprawa została już ukończoną i na podstawie dat autentycznych podaje o niej *Kuryer Lwowski* następujące szczegóły:

W rafineryi Sprecherów zjawiła się przed kilku miesiącami komisya skarbowa, która znalazła „wszystko w porządku".

Nazajutrz jednak zgłosił się do krajowej dyrekcyi skarbu magazynier rafineryi Sprecherów, niejaki Weintraub i doniósł, że w rafineryi tej działy i dzieją się różne nadużycia — pomimo, że komisya skarbowa znalazła wszystko w porządku. Szczegóły podane przez donosiciela były tak przekonywujące, że rozpoczęto śledztwo, wśród którego przesłuchano rozmaitych funkcyonaryuszów rafineryi i zamknięto nawet donosiciela Weintrauba.

Po tem aresztowaniu przyszła żona Weintrauba do Sprecherów i narzekała na to, że jej mąż pada ofiarą wykrycia kontrabandy.

Przedtem jeszcze żalił się Weintraub przed Sprecherami na to, że on będzie kozłem ofiarnym. W taki sposób odwrócić on chciał od siebie podejrzenie, jakoby był donosicielem. Sprecher, wezwany do dyrekcyi skarbu, zaprzeczał wszystkiemu, w tem otworzono drugie drzwi — wszedł Weintraub i wszystkie zarzuty powtórzył Sprecherowi w oczy, a gdy tenże twierdził, iż wszystko jest oszczerstwem — wyjął Weintraub kartkę, pisaną własnoręcznie przez Sprechera, który kazał wydać z wolnego składu 4 hektolitry spirytusu. Kartka ta była ostatnim ciosem dla Sprechera...

Krajowa dyrekcya skarbu skazała Sprechera za kontrabandę na karę fiskalną 400.000 koron, a Weintraub — który jako magazynier u Sprecherów pobierał rocznie około 3.200 koron, łudził się nadzieją otrzymania jako trzeciej części za donos kwoty 133.333 koron. Tymczasem stało się inaczej.

We Wiedniu zniżono Sprecherom karę na 150.000 koron, a Weintraub otrzymać miał jako premię 50.000 koron. Na nieszczęście Weintrauba przypomniano sobie jednak w krajowej dyrekcyi skarbu, że został on przed kilkunastu laty skazany za kontrabandę na kilkumiesięczny areszt i na fiskalną karę pieniężną, której dotąd nie zapłacił. Zaczęto liczyć skrupulatnie, doliczać za lat kilkanaście narosłe procenta zwłoki i ostatecznie okazało się, że lubo należy się Weintraubowi 50.000 koron, to jednak po strąceniu wszystkich do niego pretensyi skarbu państwowego, pozostanie dla niego na czysto do wypłaty, tylko 3.000 koron, które mu w rzeczywistości wypłacono. Otrzymał więc zamiast kwoty olbrzymiej tylko tyle, ile mniej więcej wynosiła jego płaca roczna.

Istnienie rafineryi było zachwiane, gdyż oprócz zapłacenia kary fiskalnej w kwocie 150.000 koron i rozmaitych kosztów, za popełniane nadużycia odebrano Sprecherom prawo utrzymywania składu wolnego.

Dla ratowania sytuacyi postanowiono utworzyć z rafineryi Sprecherów towarzystwo akcyjne. Pieniędzy potrzebnych dostarczył i na czele przedsiębiorstwa stanął p. Samuel Horowitz Rafineryę odkupiono od Sprecherów za około 760.000 koron; pozostają oni jednak dalej współwłaścicielami rafineryi, a młodszy z nich został dyrektorem. Starszy brat z powodu odkrycia kontrabandy na razie usunął się w zacisze domowe i piastować będzie tylko godność członka rady nadzorczej.

Prezesem rady nadzorczej został p. Samuel Horowitz, a zastępcą jego p. Piepes-Poratyński, aptekarz, prezydent Izby handlowej, poseł do Rady państwa i dyrektor tutejszej instytucyi finansowej, operującej pieniędzmi wiedeńskimi.

Opowiadają też, że na wzór bierringu utworzyć chciano we Lwowie ring rafineryi spirytusu, nie udało się to jednak, gdyż pp. Baczewscy, którym ofiarowano podobno przeszło 800.000 koron za rafineryę, nie chcieli się jej pozbyć i prowadzić ją będą sami i nadal.

Pp. Sprecherowie podnieść mieli w ostatnich czasach eksport spirytusu za granicę i urządzili także ze względów konkurencyjnych z obcymi rafineryami swą rafineryę w Morawskiej Ostrawie.

Dla ścisłości dodać należy, że niedawno temu skazani zostali pp. Sprecherowie na karę fiskalną 40.000 koron, która to kara jednak na skutek starań ze strony jednego z członków Koła polskiego—jak mówią Dra Byka—została im darowana.

Nabożeństwo żałobne za spokój duszy śp. Mikołaja Rodocia Biernackiego, poety-satyryka, urzędnika lwowskiej Filii Towarzystwa wzajemnego kredytu w Krakowie, odbędzie się dnia 30 b. m. o godz. 8 rano w kościele archikatedralnym, staraniem kolegów biurowych zmarłego.

Wiadomości kościelne. Cesarz zamianował rzym. kat. proboszcza w Stanisławowie, x. dziekana Stanisława Piaskiewicza, oraz rzym. kat. proboszcza św. Marcina we Lwowie, x. Edwarda Podolskiego — kanonikami honorowymi rzym. kat. kapituły metropolitalnej lwowskiej.

W pogrzebie Henryka Siemiradzkiego weźmie udział deputacya Rady m. Krakowa z prezydentem Friedleinem na czele. Złoży ona wdowie pismo kondolencyjne, a na trumnie mistrza wieniec. Prezydent p. Friedlein porozumie się też z rodziną mistrza co do sprowadzenia zwłok do Krakowa i złożenia ich w grobie zasłużonych na Skałce.

Arcyksiężna Fryderykowa przybyła wczoraj wraz z trzema córkami i liczną świtą do Szczawnicy i zamieszkała w pensyonacie dra Kołączkowskiego. Po zwiedzeniu Szczawnicy wyruszy arcyksiężna pieszo przez Pieniny z powrotem do Węgier.

Napad chłopów na dzierżawcę. Z Jamnicy pod Stanisławowem donoszą, że włościanie tamtejsi, chcąc pozbyć się dzierżawcy, p. Dawida Weitza, urządzili w nocy z soboty na niedzielę najazd na jego dom, przyczem powybijali szyby w oknach, a dom kamieniami obrzucili. Kilkudziesięciu włościan na koniach stratowało koniczynę i rozebrało mostek przed domem posesora. Wystraszony ekonom, także izraelita, uciekł do domku budnika kolejowego. Włościanie jamniccy chcą w ten sposób pozbyć się izraelity dzierżawcy i zmusić właścicieli Jamnicy pp.: Süssmanna i Leona Weingartena, ażeby im Jamnicę (około 200 morgów gruntu ornego) odsprzedali. Starostwo wysłało na miejsce ekscesów żandarmeryę, która też porządek i spokój przywróciła.

Przenosiny centralnego Zarządu Domen państwowych odbędą się już niebawem. Na razie instytucya ta przenosi się na Kastelówkę i zajmie tam kompleks domów, stojących naprzeciw ulicy Śniadeckich. Wszyscy lokatorowie tych kamienic, a jest ich liczba bardzo wielka, muszą się teraz wynosić, bo właściciel wypowiedział im mieszkania, żeby je przemienić na biura.

Oczywiście jest to sprawa czysto prywatna, ale ma ona i pewną cechę publiczną. Miastu naszemu zależy bowiem na tem, aby instytucye państwowe budowały sobie własne gmachy, raz dlatego, że tym sposobem powstają okazałe budowle, następnie, że robotnicy mają zarobek, w końcu, że nie podnosi się sztucznie ceny pomieszkań. Liczono więc na to, że domeny wystawią wspaniały gmach i że będzie on ozdobą tej ulicy, na której stanie. Zamiast tego zarząd domen wynajął pięć czy sześć kamienic i zruszył całą armię lokatorów. Dla miasta jest to wielki zawód.

Dar Henryka Siemiradzkiego. Było to w niedzielę, d. 5 października r. 1879, a w dniu czwartym uroczystości jubileuszowych J. I. Kraszewskiego w Krakowie.

Po południu, w hotelu „Victoria“ odbywała się uczta literacko-artystyczna na cześć jubilata, na którą zaproszono pobratymców z Czech, Morawy i Szląska. Brało w niej udział 180 osób.

Obok jubilata zasiedli: August Cieszkowski i Henryk Siemiradzki.

Mowy zagaił redaktor *Kuryera Warszawskiego*, ś. p. Wacław Szymanowski; potem przemawiali: Cieszkowski, Jenike, Andriolli, Tarnowski, Szujski, Koźmian i Zyblikiewicz, który wzniósł toast na cześć Siemiradzkiego.

Wtedy powstał on i w te odezwał się słowa:

— Podziękować pragnę „maleńkim“ czynem. Ponieważ pan prezydent miasta był tyle łaskaw, że mi odstąpił jednej ściany w Sukiennicach, przeto zawieszę na niej moje „Pochodnie Nerona“, ofiarując je krajowi z tem przeznaczeniem, aby w Sukiennicach były umieszczone.

Trudno opisać zapał, jaki wywołały te słowa. Serdeczna prostota, z jaką wielki artysta uczynił dar tak wspaniały, dowiodła szlachetnego serca, o jakie w czasach dzisiejszych niełatwo. Kto do tej chwili uwielbiał talent Siemiradzkiego, ten go odtąd za tę wspaniałomyślność szlachetność pokochać musiał.

Wszyscy też tłoczyli się do artysty, aby mu dłoń zacną uścisnąć, a okrzykom nie było końca.

Dosadnie określił uczucia obecnych Jan Dobrzański, gdy zawołał:

— Siemiradzki, to największy magnat polski, który darem królewskim nas obdarzył!

Przed wieczorem plakaty na rogach ulic obwieściły miastu dar Siemiradzkiego, który stał się bohaterem dnia, wieńczonym i osypywanym kwiatami.

Kiedy jednak, na wieść o hojnym darze, przed mieszkanie artysty przybył korowód z pochodniami, Siemiradzki uchylił się od hołdu i, sam ujawszy pochodnię, odprowadził orszak przed okna autora „Kazania Skargi“.

Zmarli. We Lwowie zmarła Konstancya z Krupskich Łopuszańska, emer. dyrektorka szkoły wydziałowej, ozdobiona złotym krzyżem zasługi, przeżywszy lat 58.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 14, w poł. + 22R. Bar. 768. Nieruchomy. Pogodnie.

Objaśnienie.

Cudzoziemiec. Dlaczego właściwie wystawili pomnik temu człowiekowi?

Przewodnik. Bo go jeszcze nie miał.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś we wtorek „San Toy“ operetka w 3 aktach Sidney Jonesa. — We środę „Jabuka“ operetka w 3 aktach J. Straussa. — We czwartek „Piękna z Nowego Jorku“ operetka w 3 aktach (5 odsł.) G. Kerkera. — W piątek „Fatinica“ operetka w 3 aktach Souppe'go.

W konces. szkole fortepianu i cytry prof. Wygnańskiego, Trybunalska 14, wpisy z d. 27 sierpnia. Nauka w 3 kursach, elementarny 3 zł. Wpisy bezpłatne. Nauka odbywa się także w domach prywatnych.

Literatura i sztuka.

* **Kazimierz Gliński:** „Pan Filip z Konopi“. Powieść. Nakład Gebethnera. Warszawa. 1902.

Pan Filip z Konopi, rycerz z czasów Stefana Czarnieckiego, jeżeli wie na drugim świecie, co się dzieje na tej ziemi, będzie Kazimierzowi Glińskiemu niezawodnie bardzo wdzięczny za jego powieść p. t. „Pan Filip z Konopi“. Bo czemże był dotąd pan Filip w pamięci potomnych? Symbolem roztargnienia, nierozwagi, głupoty. Gdy się ktoś odezwie „ni w pięć, ni w dziewięć“, gdy odezwaniem się swojem budzi śmiech powszechny, mówimy: „wyrwał się, jak Filip z Konopi“.

Jakże inaczej wygląda pan Filip w oświetleniu Glińskiego!

Przyszedł na świat w czasach, w których się zdawało, że gmach Rzeczypospolitej pęka, trzaska, zapada się, jak stara, porysowana chałupa. Zewsząd, od ściany północnej, wschodniej i południowej, szły na nią burze, biły pioruny, ogarniały ją płomienie. Waliło się wszystko.

W tej chwili ciężkiej dała Opatrzność zmękanej ziemi wielkiego żołnierza, genialnego wodza, szczerego obywatela. Kiedy odwaga opuszczała najśmielszych, błysnął Stefan Czarniecki szablą i zrobiło się jaśniej w Rzeczypospolitej. Pod jego buławę garnęli się wszyscy, których serca nie przestały jeszcze bić dla losów kraju. Pod jego sztandarem walczył także pan Filip z Konopi, mąż waleczny, nieustraszony. Nie wspomina o nim Pasek, zapomniał o nim Sienkiewicz w „Potopie“. Cześć wrócił mu Kazimierz Gliński.

Bił się pan Filip pod wodzą Czarnieckiego przez lat siedem. W licznych bywał terminach, w mnogich opresyach, a ze wszystkich terminów i opresyi wychodził zawsze cało. Jak całe rycerstwo owych czasów, nie oszczędzał mienia wroga. Pokonanym nieprzyjaciołom odbierał konie, zbroje, broń, pieniądze, drogie kamienie. Kilka wozów, naładowanych z czubem, kilka dobrych koni zdobycznych szło za nim, kiedy wracał po ukończonej wojnie do rodzinnych Konopi, gdzie czekała na niego tylko służba, bo rodziciele spoczywali już w grobie. Wracał bogaczem, ale — wrócił, stanął w domu uboższy, niż wyszedł.

Dlaczego? Bo pan Filip był nietylko znakomitym żołnierzem, ale także na wskroś w pojęciach swoich, w upodobaniach rycerzem, do cnót zaś rycerskich należała hojność. Wszakże, kiedy kładziono na biodra giermka szlacheckiego stanu biały pas, a do butów przypinano mu złote ostrogi, przysięgał na ewangelię, że będzie opiekunem wdów, tarczą sierót, mieczem pokrzywdzonych, żywicielem ubogich, że nie zamknie nigdy ręki, gdy się potrzebujący do niego zwróci. Tak nakazywał zakon rycerski. Tylko ludzie podłej kondycyi mieli prawo zgarniać grosze, robić majątki, plamić się chciwością, skąpstwem. Rycerz prawy gardził mamoną, nie przywiązywał do niej żadnej wartości.

Nie wszyscy oczywiście rycerze byli prawymi rycerzami w rozumieniu ideału średniowiecznego, tu i owdzie jednak znalazł się jakiś taki, który stosował się ściśle do złożonej przysięgi.

Pan Filip należał do takich.

Wracał do domu, objuczony łupem bogatym, za który mógłby był zaokrąglić rodzinne Konopie kilku wioskami, gdzie jednak po drodze spotkał dwór spalony, kościół zrabowany, chałupę zniesioną, tam sięgał do trzosa i sypał na prawo i lewo czerwone złote i drogie kamienie. A że takich dworów spalonych, kościołów zrabowanych, chałup zniesionych było w owym czasie bardzo dużo w Rzeczypospolitej, że nędza z biedą spacerowały sobie po kraju, jak u siebie, przeto stawały się trzos i wozy pana Filipa coraz lżejsze. Gdy zbliżał się do Konopi, nie ciągnął już za nim ani jeden wóz. Zostało mu tylko trochę pieniędzy i dwa dzielne konie zdobyczne, na których jechali — on i jego wierny pachołek a towarzysz.

Ale nawet tych koni nie miał doprowadzić do domu, bo oto spotkała go przed samym progiem Konopi przygoda, która wpłynęła stanowczo na resztę jego życia.

Już widział z daleka kopce graniczne wioski rodzinnej, kiedy na drodze coś nagle zakotłowało, zaszumiało. Spojrzał i przybladł. Cztery konie ponosiły karetę, a z tej karety dobywały się rozpaczliwe wołania o pomoc. Nie namyślał się ani chwili, albowiem obowiązkiem rycerza spieszyć wszędzie i zawsze, znajomemu i nieznajomemu, na ratunek. Więc krzyknął tylko na pachołka: Naprzełaj w łot konie, łeb w łeb, i poszli wichrem ku unoszonym. Konie zwarły się z siłą dwóch skał, rzuconych na siebie. Kareta zatrzymała się, stanęła, ludzie byli ocaleni, lecz pan Filip stracił ostatnie resztki swoich zdobyczy: jego bachmaty padły rażone na śmierć. Stracił nietylko resztki swoich zdobyczy, lecz także spokój duszy. Z karety wysiadł pan podkomorzy Bylina z córką, której uroda zabrała panu Filipowi serce. Rycerz rozmiłował się w pannie na swoje nieszczęście.

I wraca pan Filip do domu po siedmioletnich trudach, jak nędzarz, bez wozów zdobycznych, bez dostatków, na marnej szkapie, kupionej u chłopa. Ubóstwo nie smuci go, albowiem jego fantazya rycerska drwi sobie z dostatków.

Lecz innego zdania jest jego służba.

Stanąwszy w domu, spotyka się pan Filip po raz pierwszy z mądrością życia. Rycerz, który szedł na groty i kule, który dzielił się z każdym potrzebującym dobytkiem swoim, nie myśląc nigdy o sobie, dowiaduje się nareszcie, że samolubstwo jest jedynym bodźcem postępowania przeciętnego śmiertelnika. Służba urąga mu, drwi z niego, że nie przywiózł zdobyczy, z którejby i dla niej coś kapnęło; pan Bylina nie chce mu zrazu oddać córki, przenosząc nad niego zbogaconego na wojnie, nieuczciwego rabusia.

Tak wygląda prawda życia, tak wyglądała zawsze i wyglądać będzie prawdopodobnie po wszystkie czasy. Zmieniają się warunki istnienia, ale rzecz zostaje ta sama. Ludzie urządzają się na tej ziemi z taką troskliwością, jak gdyby na niej wiecznie mieszkać mieli. O śmierci, która nikogo nie minie, myśli niewielu ze szkodą godności człowieczej. Bo gdyby człowiek myślał częściej o tem, że życie jest właściwie bardzo krótkie, że śmierć zamyka bezpowrotnie, bez miłosierdzia, wszystkie nasze ziemskie zabiegi, ambicye i rachunki, nie plamiłby się chciwością, podłością i krzywdą słabszego. Lecz nie było jeszcze takiego cudotwórcy, któryby obrzydził rodzajowi ludzkiemu jego mądrość filisterską. Religia, filozofia idzie swoją drogą — rozum praktyczny swoją.

Smutne doświadczenia nie wpływają wcale chłodząco na pana Filipa. Jego ładna, biała, rycerska dusza, skłonna zawsze do ofiar, do poświęceń, nie psuje się w atmosferze pospolitości. Własnego szczęścia wyrzeka się on dwa razy dla szczęścia cudzego i schodzi z tego świata w kwiecie wieku czysty, jak żył czysty. Sprawdza się na nim niewesoła, rodzajowi ludzkiemu nie przynosząca zaszczytu, prawda, że szlachetni giną zawsze przedwcześnie, niezrozumiani, niedocenieni.

Tak wygląda pan Filip z Konopi w oświetleniu Glińskiego.

Gliński umiłował serdecznie swojego Filipa z Konopi, ale obok niego postawił Michała Zawiszyńskiego, syna marszałka, drapichrusta wojskowego, szakala, który ciągnął za obozem, wietrząc świeżych trupów, nie mogących się bronić. Rycerz bił się, a szakal rabował kościoły, obdzierał poległych, kradł, gdzie się dało — zbierał majątek. Dwa te charaktery dopełniają się nawzajem, malują jasne i ciemne strony żołnierzy owego czasu.

Losy Filipa z Konopi opowiada Gliński żywo, z temperamentem, z werwą, posługując się zwrotami archaicznemi w sam raz, w samą miarę. Nie przeładowywa dykcyi niepotrzebnem zielskiem, makaronizmu, nie popisuje się tanią erudycyą — mówi jasno i zrozumiale.

Ludzi szkicuje rysami grubemi, ale mimo to występują oni z plastyką dodatnią. Widzi się ich, czuje i rozumie.

Możnaby mu zarzucić, że nie postawił charakteru Bylinówny od samego początku dosyć wyraźnie, że nie przygotował czytelnika do jej ślubu z Cichockim, że ślub ten jest niespodzianką; któż by jednak chciał się obchodzić zbyt surowo z dziełem, którego całość zostawia po sobie wrażenie bardzo przyjemne. Sprawozdawca nie powinien być nudnym pedantem.

„Pan Filip z Konopi“ jest najlepszą powieścią Glińskiego. Można mu jej szczerze powinszować.

Głosy publiczności.

Odezwa do dzieci polskich.

Kiedy w r. 1885 odezwałam się do ówczesnych dzieci w sprawie sierót przemyskiego Zakładu, by z pomocą dziecinnych ofiarek obszerniejsze im obmyśleć umieszczenie, posypały się owe ofiarki w sposób niewypowiedzianie serdeczny, a nawet rzewny.

Chłopczyk wiejski u matki wdowy komornicy, którego całem posiadaniem była jedyna koszulka krajką przepasana, przyniósł centa (!) na Zakład sierót. Zaprawdę on przyniósł tysiąc, bo w sercu jego z pewnością ten cent miał wartość tysięcy. (Morawica pod Krakowem).

Znów mała dziewczynka chora na gardło potrzebowała maleńkiej operacyi. Na zachętę obiecano jej 2 zł. na śliczną lalkę, jeśli na operacyę zezwoli; dowiedziawszy się jednak od swojej mamusi, że są sierotki, które przytułku nie mają, na operacyę zezwoliła, a 2 zł. na sierotki przysłała. (Sieniawa).

Dalej znów oddział polskich żołnierzy w Bośni kwaterujący, gdy przeczytano im Odezwę do dzieci polskich, zebrali swoje groszaki i całą sumkę z rzewnym listem do Przemyśla nadesłali.

O wieleż i wiele podobnych ofiar zebrali aniołowie! Jakim tryumfem wieńczyły się młodziutkie czoła dzieci na myśl, że miłość dla sierót przemogła ich osobiste pragnienia, że zrozumiały, iż ofiara z tego, co jest tylko przyjemnością, na korzyść tych, którym na koniecznem zbywa, jest świętym i słodkim obowiązkiem.

Dzieci drogie, dziś już babunia przy tym samym Zakładzie sierót zostająca, do serc Waszych, równie jak ongi dobrych, równie szlachetnych się udaję. Domek nasz, chociaż już powiększony, tylko 30 ich pomieścić może, a sierót tak wiele! Szczególniej tych maleńkich, cztery, pięć latek mających, których my dotąd przyjmować nie możemy, bo takie dziecinki potrzebują osobnego, luźnego umieszczenia, osobnego kierunku. Uważcie dzieci, te sierotki nie mają matki, nie mają ojca, świat dla nich to dzika puszcza, tak rzadko kto z miłością je przygarnie i przytuli, bo trudno wymagać, aby wszystkie domy w zakłady sierót się zamieniały. Ale znów nie ma zapewne dziecka przy ojcu i przy matce, któreby od swoich rodziców jakiejś ofiarki uprosić nie mogło. A dla wielkiej to z was rodzice chętnie dla waszej przyjemności znacznieje nawet podejmują wydatki?

Dzieci drogie, o te wydatki jak o największą łaskę rodziców proście. Rozweselajcie serca Wasze i rozszerzajcie je myślą, żeście osobistą ofiarą sieroty wsparły.

Więc do dzieła dzieci!

Każde dziecię, które ofiarę swoją nadeśle z wymienieniem imienia, nazwiska i zamieszkania otrzyma obrazek pamiątkowy.

W Bogu Was kochająca Felicyanka „Babunia“ przy Zakładzie sierót w Przemyślu.

Z targów zbożowych.

Wiedeń, 24 sierpnia.

(Z) Byliśmy aż do tej pory świadkami tego dotychczas nieznanego w naszych stosunkach zjawiska, że tuż po żniwach na Węgrzech dowozy zboża na targi były nadzwyczaj małe, a magazyny wcale się nie zapełniały. Przypisać to należy temu, że żniwa tegoroczne węgierskie były wyjątkowo świetne. Tak wielkie ilości zboża były do zebrania normalnemi siłami roboczemi, że skutkiem tego opóźnił się omłot, a tem samem i dowozy. Obecnie jednak zostały już przezwyciężone te techniczne trudności i handel zbożowy rozwija się w całej pełni. Z przyjemnością skonstatować należy, że także handel exportowy rozwija się pomyślnie, na razie jednak punkt ciężkości całego interesu zbożowego leży w zakupnach pośredników i w rozwikłaniu poprzednio zawartych sprzedaży terminowych. Konsumcya domaga się przeważnie bezzwłocznej dostawy zboża, a w wielu wypadkach wprost niepodobna spełnić tych żądań, gdyż przedsiębiorstwa transportowe nie mogą podołać stawianym wymaganiom. Zwłaszcza towarzystwo żeglugi na Dunaju jest w niemałych opałach, gdyż prawie wszystkie miejsca do ładowania są przepełnione i park okrętowy okazuje się za małym. Ponieważ ruch zbożowy w najbliższych tygodniach niezawodnie jeszcze bardziej się zwiększy, przeto nie chce to Towarzystwo zawierać umów na dłuższe terminy, i za transporty, zapowiedziane na początek września, żąda daleko wyższej opłaty przewozowej od tej, jaką pobiera w sierpniu. Akcyonaryusze Towarzystwa tego będą mieli zapewne dobry rok i już uśmiecha się im wyższa dywidenda.

Zauważyć należy także i to, że rolnicy zachowują się dotychczas z dosyć wielką rezerwą i niechętnie sprzedają wielkie ilości zboża, gdyż obecne ceny nie konweniują im. — W magazynach wiedeńskich znajduje się obecnie na składzie wszystkiego 50 wagonów pszenicy i 13 żyta. Jak na okres po żniwach jest to bardzo mało. Ceny pszenicy obniżyły się w ciągu tygodnia o 10 do 15 halerzy na 50 kilogramach.

Wczoraj notowano pszenicę cisańską wagi 79 do 82 kilo 7.60—8.10, banatkę (77 do 80 kilo) 7.40—7.75, słowacką (77 do 80 kilo) 7.30—7.65, z doliny Morawy (77 do 80 kilo) 7.40—7.50. Pszenica na jesień 6.88—6.92, na wiosnę 7.20.

Żyto obniżyło się w cenie mniej więcej o 10 halerzy. Loco Wiedeń płacono: za słowackie (72 do 74 kilo) 6·55—6.80, rozmaite węgierskie (71 do 74 kilo) 6.35—6.65, austryackie (72 do 73 kilo) 6.40—6.65, żyto na jesień 6.16—6·21, na wiosnę 6.40—6.42.

W jęczmieniu odbywają się transakcye na eksport, zwłaszcza do północnych Niemiec, ale jeszcze w dosyć szczupłych rozmiarach. Skutkiem deszczów jest kolor jęczmienia przeważnie żółty, dlatego też piwowarzy zagraniczni czekają jeszcze, czy nie pojawią się na targu inne, białe gatunki, tak bardzo przez nich poszukiwane. W niektórych okolicach Węgier, zwłaszcza w dolinie Cisy, mają takie gatunki i za te płacą zagraniczni odbiorcy bardzo dobre ceny.

Zresztą notowano wczoraj loco Wiedeń: jęczmień morawski 7—8, słowacki 6—8, ze stacyi nad środkowym Dunajem 6·25—7·50, północno-węgierski 6·50—8.90, z doliny Cisy 5·75—7·75, jęczmień na paszę 5—5·50.

W owsie podaż od kilku dni jest dosyć znaczna, a ceny cokolwiek się obniżyły. Zagraniczni odbiorcy poszukują skrzętnie pięknych, jasnych gatunków. Płacono od 6·10 do 6·40, owies na jesień 6·70.

Za kukurudzę płacono 5·50—5·60. Cinquantin 6·20—6·50.

Rzepak 10·70—10·80.

Część ekonomiczna.

Zamknięcie kursów na giełdzie wiedeńskiej z dnia 25 sierpnia:

Akcye austr. Zakł. kredyt. 682·75, węg. Zakł. kredyt. 727·00, Anglobanku 275·50, Unionbanku 539·00, Länderbanku 422·50, Bankvereinu 454·50, Bodencredit 928·00, Gal. Banku hip. 543·00, Statsbahny 718·25, Lombardy 68·50, Kol. Elbethal 466·00, Północnej 5700, Czerniowieckiej 567·00, Alpiny 397·00, Rima Muranyi 501·00, Praskiego Tow. żel. 1514, Fabryki broni 328·00, Tureckie tytoniowe. 316·50, Oblig. węg. indemniz. 97·65, Renta majowa 101·70, Austr. renta koronowa 100·10, Węgier. renta koronowa 97·90, 56-letnie Listy Tow. kredyt. ziem. 96·40, 4% Listy Banku krajow. 97·00, 4½% Listy Banku krajow. 101·00, 4% Listy Banku hipotecznego 96·50, 4½% Listy Banku hip. 100·60, 5% Listy Banku hipotec. 110·00, 4% Gal. Oblig. propin. 99·30, 4% Gal. poż. kraj. z r. 1893 97·25, 4% Poż. m. Lwowa 94·20, Losy tureckie 111·75, Marki 117·07, Ruble 253·¼.

§ **Budapeszt** 25 sierpnia. Stan zasiewów z dniem 20 b. m. Kukurudza miejscami poprawiła się wskutek deszczu. Zbiór jednakże w porównaniu z rokiem ubiegłym wypadnie niekorzystnie. Kartofle po większej części zadowalające. Rośliny strączkowe znacznie się poprawiły. Na tytoń wpłynęły deszcze ostatnich dni dodatnio. Winnice każą spodziewać się dość lichego zbioru.

§ **Wiedeń** 26 sierpnia. Na wczorajszy targ spędzono bydła rogatego, przeznaczonego na rzeź, ogółem 5169 sztuk. W tem było z Galicyi 96, z Bukowiny 12. Przebieg targu był ożywiony. Ceny wyższe o 50 h. Niesprzedano 49 sztuk. Wołów z Galicyi i Bukowiny sprzedano: 4 sztuk po 64 do 66, 8 sztuk po 67 do 71, 9 sztuk po 74 do 79 koron, — po 00—00 koron, bujaje podtuczone bez różnicy pochodzenia kupowano po 54 do 68, krowy podtuczone po 54 do 66, bydło chude po 38 do 52 kor., wszystko licząc za centnar metryczny żywej wagi.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze dzisiejsze poranne).

Mannheim 26 sierpnia. Zjazd katolików niemieckich przyjął deklaracyę na rzecz odbudowania pałstwa kościelnego i uchwalił rezolucyę, wzywającą katolików niemieckich do licznego udziału w pielgrzymce do Rzymu na wiosnę roku przyszłego w celu złożenia Ojcu św. życzeń i hołdu z okazyi osiągnięcia przez niego lat Piotrowych na Stolicy Apostolskiej. Wiec z zadowoleniem przyjął do wiadomości, że w sprawie znanej bójki mnichów w Jerozolimie zasądzono tych, który wywołali bójkę. Następnie polecił wiec katolikom niemieckim, aby popierali Towarzystwo budowy przytuliska im. św. Pawła w Ziemi św., oraz uchwalił rezolucyę zalecającą bracie jak najliczniejszego udziału w kongresie eucharystycznym w dniach 3 do 7 września. Na tem zjazd zamknięto.

Wiedeń 26 sierpnia. Ministerstwo spraw wewnętrznych zatwierdziło statut ogólno-austryackiej Ligi antipojedynkowej.

Brest 26 sierpnia. Komisarz policyi Vaillant, który podczas interwencyi przy wypędzaniu zakonnic w okręgu Pont Croix został raniony, wniósł przeciw 8 osobom oskarżenie o opór stawiany władzy. W gminach Leon i Cornonailles odbyły się demonstracye na cześć zakonnic.

Sofia 26 sierpnia. Policya uwięziła tu wczoraj bandę, złożoną z 50 ludzi, którą uzbroił komitet Sarafowa. Banda ta, korzystając z tego, że policya była zajęta wyborami gminnymi, chciała się przedostać do Macedonii. Podobno o zamiarze tym doniósł władzom komitet Sonczewa.

(Depesze popołudniowe).

Chrystyania 26 sierpnia. *Aftenposten* donosi z Vadsöe, na północno-wschodniem wybrzeżu Norwegii, że podczas poszukiwań, przedsięwziętych w ciągu lata w południowem Varangerze, odkryto ogromne pokłady żelaza, niebywałej rozległości, przewyższające wszystkie dotychczas znane kopalnie. Znajdują się tam pokłady o grubości 70 do 200 metrów; najmniejsze są grubości 30 m. Okolica ta leży blisko portu, zatem wywóz rudy jest łatwy. Ruda przeważnie zawiera 60 do 70% żelaza. Pobliska rzeka może być użyta do poruszania maszyn o sile 40 do 50 tysięcy koni.

Wiedeń 26 sierpnia. W Berlinie zmarł hr. Ludwik Herberstein, przywódzca stronnictwa średniej i wielkiej własności w sejmie morawskim.

Rzym 26 sierpnia. Słynny polski rzeźbiarz Brodzki został rażony paraliżem.

Warszawa 26 sierpnia. Dziś przywiezione tu będą do kościoła Św. Krzyża zwłoki śp. Siemiradzkiego. Jutro popołudniu pogrzeb na Powązkach.

Grac 26 sierpnia. Na dzisiejszem posiedzeniu sądu rozjemczego w sprawie o Morskie Oko referenci galicyjscy omawiali literaturę, dotyczącą spornego terytoryum, wykazy katastralne i kwestyę opodatkowania spornego terytoryum. Podobno dziś referat swój oni ukończą.

Kapsztadt 26 sierpnia. W parlamencie wniósł reprezentant rządu, aby deputowani zatwierdzili rozporządzenie rządowe, wydane podczas stanu wyjątkowego. Oświadczył on zarazem, że rząd nie ma nic przeciw wyborowi komisyi dla zbadania, jak prawo wojenne było wykonywane.

HOTEL GEORGEA.

Przyjechali dnia 26 sierpnia. Hr. St. Konarski z Dubiecka. Hr. St. Komorowski z Siekierczyc. Hr. A. Tarnawski z Paryża. Hr. A. Zamoyski z Wysocka. Th. Bönisch z Sanoka. B. Bartoniec z Trzebini. J. Dąbrowski i B. Rudnicki z Kijowa.

HOTEL EUROPEJSKI

Lwów — Plac Maryacki

ALBERT SZKOWRON.

Przyjechali dnia 26 sierpnia. Hr. K. Ożarowski z Juśkowic. Dr. J. Walewski z Nossowa. S. Żelechowska z Korczowa. H. Watzke z Wiednia. A. Horodyński z Kociubiniec. Fr. Słęk z Krakowa. J. Dobrucki z Jarosławia. J. Przeworski z Krakowa. M. Bilińska z Żółkwi. H. Wolf z Wiednia. O. Barbagg z Pragi.

HOTEL FRANCUSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 26 sierpnia. W. Skrzyński, S. Goldstein i F. Kasparek z Krakowa. A. Obertyński z Nowego Sioła. A. Schindler z Bochni. G. Łączyńska z Batiatycz. S. Sternschel z Horodenki. A. Rucki i S. Krimmerowie z Odessy. J. Wojciechowscy z Zatoru. T. Wojnarowski z Baliniec. E. Hiolski z Raju. S. Szostkiewiczowie z Warszawy. F. Dubieńska z Zakliczyna. W. Jaworkowie z Tłustego. K. Bestrzycki ze Złoczowa.

Wiedeń 26 sierpnia. (Giełda towarowa). Cukier 17·30 (spokojnie). Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus (spokojnie) 39·80.

Berlin 26 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·50. Spirytus 38·70.

Paryż 26 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 100·15 Mąka („Fleur de Paris“) 31·25.

Frankfurt 26 sierpnia. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 215·25. Koleje państwowe 154·25 exclusive kupon. Alpiny 000·00. Disconto 000·00. Laura 000·00.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1902 roku według czasu środkowo europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1·35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50.
Z Rzeszowa: 10·25.
Ze Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 9.32*.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·00, 5·85 10·20*; na Podzamcze: **2·20**, 7·40, 5·11, 10·02*.
Z Tarnopola: 8.35* (na dw. gł.); 8·14* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie) 6.50, 9.12*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie w niedziele święta) 8·14, 8·04*.
Z Janowa 7·45, 1·28, 9·25*, 10·08*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **12·45***, **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11·00*
Do Rzeszowa: 8·30.
Do Przemyśla: 8·25*.
Do Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 2.00.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·00* 11·10*; z Podzamcza: **2·09**, 6·48, 9·20*, 11·32*.
Do Tarnopola: 10·40 z dw: głównego i 10·57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·30, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 8·05, 6·35*
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 codziennie) 5.50*, 8.26.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 wł. w niedziele i święta) 2.15, 8.16*.
Do Janowa: 9·15, 1·25, 8·15 6·30*, 10·05*

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano

8)

Człowiek niewidzialny.

Romans fantastyczny

H. G. WELLSA.

(Ciąg dalszy).

To był nos niewidzialnego, nos czerwony, lśniący. Potoczył się na ziemię z takim szelestem, jak tektura.

Potem nieznajomy zdjął okulary. Wszyscy osłupieli. Zdjął kapelusz, zdarł faworyty i bandaże. Przez chwilę zalegało milczenie, brzemienne grozą.

— Jezu Chryste!... krzyknął ktoś wreszcie.

Zapanował popłoch; pani Hall rzuciła się do drzwi, inni za nią. Spodziewali się zobaczyć okropne rany, szpetotę, słowem — coś strasznego, a tymczasem ujrzeli — nic.

Jeden uciekał przed drugim, potrącano się wzajem, przeskakiwano przez nos i faworyty, żeby nie dotknąć czarów.

Przed nimi stała postać bezgłowa, wymachująca pustymi rękawami i miotająca przekleństwa, które niewiadomo skąd wychodziły.

Ludzie we wsi słyszeli krzyki i, pędząc w ich kierunku, widzieli rzeczy dziwne. Pani Hall wybiegła z domu, jak opętana. Teddy Henfrey wypadł za nią, ale się przewrócił na progu. Wszyscy wylatywali z izby szynkownej. Wywabiona z kuchni hałasem, wpadła Millie, a widząc nieznajomego bez głowy, wrzasnęła w niebogłosy.

Kto żył we wsi, biegł ku oberży, a więc sklepikarka z synem, golibroda, szewc, krawiec, wiejscy eleganci, młode dziewczęta, matrony, starcy, sztukmistrze i komedyanci z czekoladowej budy. Ze czterdzieści osób zebrało się przed gospodą. Utworzyła się istna wieża Babel, bo wszyscy mówili jednocześnie.

Paru mężczyzn podtrzymywało panią Hall, która po raz wtóry w dniu owym utraciła zmysły.

Naoczni świadkowie zdumiewającego wypadku wrzeszczeli głośniej od innych, znajdując, i słusznie, że warto ich było posłuchać.

— Co on teraz robi?... — wołano.

— Porwał nóż, chciał zamordować Millie!... — wrzeszczał ślusarz.

— A ja wam powiadam, że to czarownik. Trzeba go ze wsi wyświecić... — domagał się felczer.

Ciekawi zaglądali przez okna do izby. Jeden, stojący najbliżej, opowiadał:

— Biegnie za dziewczyną... Powrócił... z nożem w ręku... Wziął chleb... On pewno chce zabić Millie...

Zrobił się znowu popłoch. Objaśniający młodzieniec został odepchnięty od okna. Ustępowano miejsca nowym przybyszom.

Pan Hall powracał, wiodąc ze sobą konstabla, pana Bobby Jaffers, zbrojnego w rozkaz aresztowania; za nimi szedł z godnością kowal Wadgers.

Pan Hall wstąpił na schody; zmierzał prosto do drzwi. Ujrzał je otwarte.

— Konstablu — rzekł — czyń twoją powinność...

Jaffers wszedł do bawialni, Hall za nim, Wadgers na końcu. Zobaczyli naprzeciw siebie postać bezgłową, w jednej ręce, osłoniętej rękawiczką, ta postać trzymała chleb, w drugiej — kawał sera.

— To on!... — zawołał Hall.

— Cóż to za licho?... — odezwał się nad kołnierzem od płaszcza głos piskliwy.

— Nie miałem jeszcze do czynienia z takimi ptaszkami... — rzekł pan Jaffers jowialnie — ale skoro kazali aresztować, to aresztuję pana, z głową lub bez, to mi jest jedno.

— Precz odemnie. — wrzasnęła czarna postać, odrzucając chleb i ser i podbiegając do stołu, z widocznym zamiarem chwycenia noża, ale Hall uprzedził ten zamiar.

Jaffers chwycił ręce i ścisnął niewidzialne gardło.

Dostał czemś niewidzialnem po twarzy, ale nie zwolnił uścisku... Hall podał nóż Wadgersowi, który stanął przy drzwiach w charakterze więziennego dozorcy. Jaffers borykał się wciąż z nieznajomym.

— Chwytaj za nogi!... — krzyknął do pana Hall.

Ten chciał spełnić rozkaz, ale został kopnięty tak mocno, że w bok odskoczył. Wadgers widząc, że bezgłowy człowiek obala konstabla na ziemię, począł wzywać ratunku. Nadbiegli Huxter i Siddebridge, powroźnik. W chwili tej kilka butelek zawirowało w powietrzu i rozbiło się o ich głowy, napełniając pokój straszym wyziewem.

— Poddam się!... — zawołał nieznajomy; choć już trzymał kolano na piersi konstabla, zerwał się przerażający bezgłowy, bezręki, bo zerwano mu w bójce obie rękawiczki, osłaniające puste powietrze.—Na nic się to nie zda...— mówił, nie mogąc widocznie złapać oddechu.

Dziwnie było słyszeć głos, wychodzący z próżni, ale wieśniacy z hrabstwa Sussex, to najtrzeźwiejsi ludzie pod słońcem. Jaffers podniósł się, wyjął z kieszeni parę kajdanek.

— Nie wiem, doprawdy, jak je nałożyć... — mówił zafrasowany.

Nieznajomy opróżnił rękawy paltota; nachylił się, zdejmował buty i skarpetki.

— Do stu piorunów!... — huknął Wadgers.— To nie człowiek... To puste ubranie!... Patrzcie... Można wsunąć rękę w kołnierz — nic tam niema...

Dotknął czegoś niewidzialnego.

— Mógłbyś pan nie pakować mi palców w oczy... — zapiszczał głos, wychodzący z pustki. — Ja to jestem cały: z głową, rękoma, nogami, choć nikt mnie dojrzeć nie może. Pozycya niezbyt dla mnie miła, ale to jeszcze nie racya, żeby lada dudek w Iping deptał mi po nogach i szarpał mnie na kawałki...

Ubranie, zupełnie już rozpięte, wisiało w powietrzu.

Do pokoju weszło jeszcze kilka osób.

— Niewidzialny?... Co?... — drwił Huxter.— Kto kiedy słyszał o takim cudzie?...

— To rzecz dziwna, ale nie zbrodnia. Po co było wzywać policyi?... — wołał głos piskliwy.

— Co mi kazali, robię... — oświadczył chłodno Jaffers. — Mam w kieszeni rozkaz aresztowania i aresztuję. Chodzi tu nie o niewidzialność, ale o kradzież z włamaniem. Probostwo zostało zrabowane dziś w nocy...

— I cóż z tego? — zapytał głos niewidzialny.

— Poszlaki świadczą...

— Wszelkie poszlaki są głupstwem... — zapiszczał Nieznajomy. — Zresztą gotów jestem pójść z panem... Tylko bez kajdanków...

— Inaczej nie można.

— Powiadam: bez kajdanków.

— Przepraszam, ale...

Postać usiadła; zanim ktoś zmiarkował, co się dzieje, buty, skarpetki i spodnie zostały rzucone pod stół.

— Trzymaj!! łapaj!... — huknął Jaffers, miarkując, co z tego wyniknie. Chwycił palto; szarpało się zawzięcie. Wypadła z niego koszula, wreszcie palto pozostało w ręku konstabla — puste!

— Trzymajcie!... — wołał. — Jak się rozbierze, to go już nie zobaczymy!...

— Trzymajcie!... — krzyczeli wszyscy.

Rękawy od koszuli wymachiwały w powietrzu, nagle uderzyły Halla tak silnie, że jego rozstawione ręce opadły, potem koszula podniosła się w górę, jak gdyby ją ktoś zdejmował przez głowę. Jaffers pochwycił ją. Dostał w twarz, tak, że się w całym pokoju rozległo, choć nie było widać ręki, która mu wymierzyła policzek.

— Trzymaj, łapaj!... — wołali wszyscy i biegali po pokoju, ale nic złapać nie mogli.

— Zamknijcie drzwi!... — ktoś krzyknął. — Nie należy go stąd wypuszczać!...

— Ja coś schwytałem... To on!... — zawołał Wadgers tryumfalnie.

W tejże chwili dostał pięścią w nos — krew go zalała. Każdy coś oberwał: Henfrey miał ząb wybity, Huxter — guz na czole, Jaffers otrzymał silne uderzenie w plecy. Uczuł nagle, że coś stanęło pomiędzy nim a Huxterem i nie pozwala im się zbliżyć. Namacał ramiona.

— Mam go!... — wykrzyknął, borykając się z niewidzialnym przeciwnikiem, aż mu żyły wezbrały na skroniach. Nieznajomy popychał go ku drzwiom. Kostabl, zmagając się z nim i przechylając się to w prawo, to w lewo, wpadł do izby szynkownej. Chciał włóczyć niewidzialną postać z powrotem do bawialni, ale ona wypchnęła go za drzwi wchodowe. Spadł z kilku schodów na ulicę...

Nieznajomy wysunął się za nim.

Na ulicy, przed domem Huxtera, ktoś popchnął przechodzącą kobietę.

To był ostatni znak życia, dany przez Człowieka Niewidzialnego. Zniknął on bez śladu.

Przez chwilę zbiorowisko stało spłoszone, potem panika rozegnała wszystkich, jak wiatr rozpędza suche liście. Tylko Jaffers leżał nawznak, głową niżej, nogami na schodach.

(Ciąg dalszy nastąpi)

---

†

Z domu Gellinek

Matylda Orłowicz

żona em. rewidenta c. k. kolei państw.

zasnęła w Bogu, zaopatrzona Przenajświętszymi Sakramentami, dnia 24 sierpnia b. r. o godz. 7 wieczór, przeżywszy lat 54.

Pogrzeb odbędzie się dnia 27 o godzinie 5 po południu z domu żałoby przy ul. Kordeckiego l. 31 na cmentarz Łyczakowski, na który krewnych i znajomych zapraszają w smutku pogrążeni mąż z dziećmi.

Lwów dnia 26 sierpnia 1902.

„CONCORDIA" A. Kurkowski. Lwów, Sobieskiego l. 10.

---

†

Jan Schönfeld

werkmistrz c. k. kolei Państwowej

po długich i ciężkich cierpieniach, opatrzony św. Sakramentami, usnął w Panu w poniedziałek dnia 25 sierpnia b. r. przeżywszy lat 67.

W smutku pozostała żona z dziećmi i wnukami zapraszają krewnych, znajomych i pobożnych chrześcian na obrzęd pogrzebowy, który się odbędzie we środę o godzinie 5 po południu dnia 27 sierpnia b. r. z domu żałoby ul. Leona Sapiehy l. 67 na cmentarz Janowski do grobowca familijnego.

Lwów dnia 26 sierpnia 1902.

„CONCORDIA" A. Kurkowski ul. Sobieskiego l. 10.